



GŁOSUJEMY

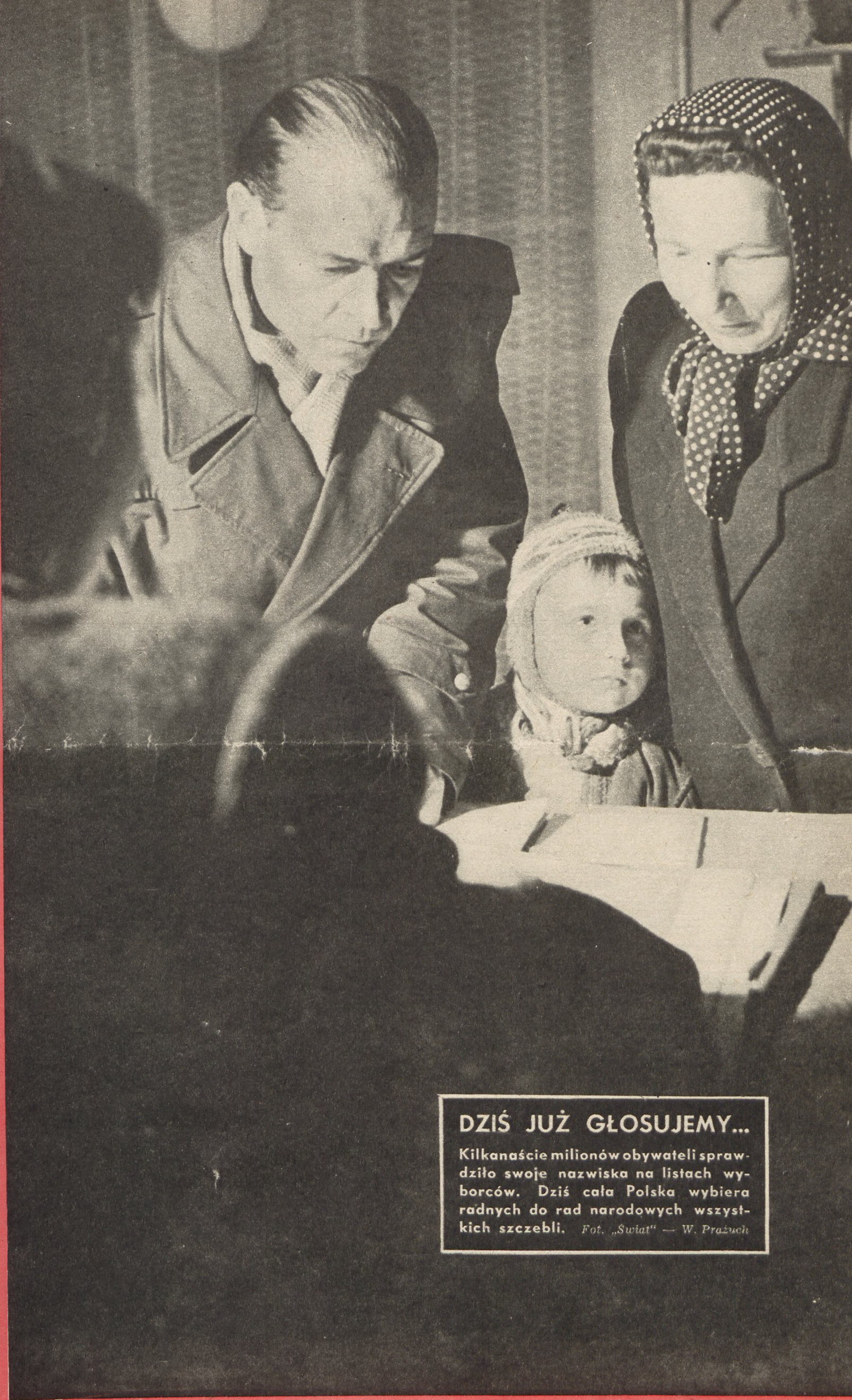
1. W dniu wyborów, 5 grudnia, lokale Obwodowych Komisji Wyborczych będą otwarte od 6 rano do 10 wieczór bez przerwy. Są to te same lokale, w których sprawdzaliśmy nasze nazwiska w spisie wyborców.

2. Do lokalu wyborczego idziemy ze swym dowodem osobistym lub innym dokumentem, stwierdzającym tożsamość. W wypadku braku dokumentów wystarczy świadeetwo 2 wiarogodnych osób, znanych Komisji.

3. Po przedstawieniu dowodu otrzymujemy od przedstawiciela komisji karty do głosowania (dwie lub trzy, bo wybieramy do rad narodowych różnych szczebli) oraz kopertę. Z kartami i kopertą udajemy się do kabin lub innych pomieszczeń za zasłoną.

4. Tu zaznajamiamy się z treścią kart do głosowania (winny być one opatrzone pieczęcią komisji wyborczej). Na kartach widnieją nazwiska kandydatów na radnych i zastępców. Wyborcy przysługuje prawo ewentualnego skreślenia nazwiska kandydata, jeśli jego zdaniem nie jest godzien piastowania mandatu radnego.

5. Karty wyborcze wkładamy do koperty, opuszczamy kabinę — i kopertę z kartami wrzucamy do zapieczętowanej urny wyborczej. Spełniliśmy nasz obowiązek obywatelski.



DZIŚ JUŻ GŁOSUJEMY...

Kilkanaście milionów obywateli sprawdziło swoje nazwiska na listach wyborców. Dziś cała Polska wybiera radnych do rad narodowych wszystkich szczebli. Fot. „Swiat” — W. Prażuch

PIERWSI W GÓRNICTWIE



Górnicy kopalni „Gottwald” na 39 dni przed terminem wykonali plan roczny wydobycia węgla. Załoga kopalni, zgromadzona na nadszybiu, wita oklaskami wyjeżdżający wózek z ostatnimi kilogramami węgla na poczet wykonanego planu.

DAR PRZYJACIOŁ



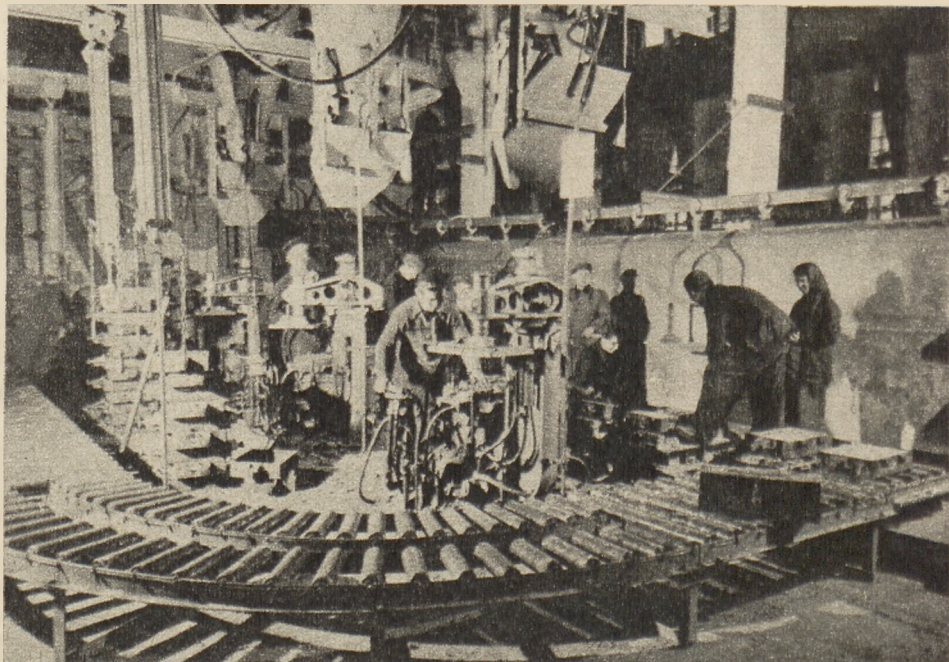
Dzieci z przedszkola Ministerstwa Kolei w Warszawie są przejęte i wzruszone: oglądają właśnie piękny „prawdziwy pociąg” — dar przyjaciół z Francji.

POCZĄTEK SEZONU



Amatorzy narciarskiego sportu rozpoczęli już sezon. Na halach Wysokich Tatr a nawet i w Zakopanem spadł już pierwszy, puszysty i obfity śnieg.

BĘDZIE WIĘCEJ MASZYN ROLNICZYCH



W Fabryce Maszyn Żniwnych w Starołęce uruchomiono niedawno nowoczesną odlewnię żeliwa. Jest ona w wysokim stopniu zautomatyzowana. Brygada Henryka Barczewskiego obsługuje formierki pneumatyczne żeliwa szarego.

ANGIELSKA Izba Lordów stała się w połowie listopada widownią niezwykle wydarzenia. Oto pewien jej członek, zasiadający w Izbie od czterdziestu dwóch lat — przemówił!

Jest taki kawał o pewnym chłopcu, którego rodzice bardzo się martwili, że miał już sześć lat i jeszcze nie zaczął mówić. Aż oto pewnego dnia przy obiedzie mały — powiedzmy — Jasio odezwał się stanowczym głosem:

— Płoszę jeszcze jednego kotleta!

Konsternacja, radość, łyzy, omdlenia — słowem wzruszenie niezmiernie i radość w rodzinie: dziecko nie jest niedorozwinięte, dziecko mówi! Wśród spazmów i pokrzykiwań pytają Jasia dlaczego to tyle lat nie odezwał się słowem. Na to małe:

— Bo nie było potrzeby.

Podobnie i ów lord: nie miał potrzeby przemawiać przez czterdzieści dwa lata. Była jedna wojna światowa, druga, rozegrała się bitwa o Anglię, padło w gruzy niejedno domostwo angielskie, niejedno młode Anglika stracił życie — zaczął lord milczeć. Dopiero teraz się odezwał. Żeby udzielić poparcia londyńsko-paryskim układom w sprawie uzbrojenia Niemiec zachodnich. Przemówił, bo widać się obawiał, że może zabraknąć jego głosu w tej sprawie i — broń Boże — zachodnie Niemcy nie zostaną uzbrojone, albo, co gorsza, Niemcy zostaną zjednoczone i pokojowe.

Małomówny lord wcale nie jest półkretynem, nie umiającym mówić, czy też nie wiedzącym, co się na świecie i w jego kraju dzieje. Nie miał po prostu potrzeby dotychczas mówić.

ZACNY LORD sprawuje swoje obowiązki w izbie wyższej parlamentu angielskiego, matki parlamentów świata, z tytułu swego urodzenia i nazwiska. Nikt go nie wybiera. Wchodzi w posiadanie swego krzesła w Izbie Lordów podobnie, jak po śmierci swego ojca jako najstarszy syn dziedziczy nazwisko, tytuł, zamki i majątki ziemskie. Gdy mowa o demokracji, niektórzy lubią powoływać się na Wielką Brytanię. Czynią to zwłaszcza chętnie od czasu, gdy Stany Zjednoczone już jako zbyt przekonujący przykład w tej dziedzinie służyć nie mogą. Gdy rozmówcę niepokoją nieco owe feudalne pozostałości „demokracji” angielskiej, ta Izba Lordów składająca się z panów dziedzicznych i kilku mianowców, i inne podobne zgoła nie-demokratyczne zwyczaje — odpowiedź brzmi niezmiennie, że to wszystko nie ma żadnego znaczenia, że to są takie zabytki, rekwizyty przeszłości, do których cały naród angielski jest niezwykle przywiązany, które jednak w życiu politycznym żadnej roli nie spełniają.

Oprócz chwil krytycznych. Bo wówczas milczący lord ma prawo i możliwość wypowiedzenia się za militarystą i odwetem nie-

mieckim, a szerokie masy narodu prawa protestowania przeciwko temu nie mają. Mogą najwyżej tyle, że pod ich naciskiem przywódcy frakcji labourzystowskiej w Izbie Gmin muszą zmienić swą pierwotną decyzję o głosowaniu za układami militaryzacyjnymi na wstrzymanie się od głosowania.

Od dziesiątków lat trwa w Anglii walka o zniesienie Izby Lordów. Jeśli klasy panujące tak tej instytucji bronią, to znaczy, że z niej jakieś korzyści ciągną. Nic bez powodu, nic bez przyczyny. I oto teraz okazało się, że ta „demokracja” mianowców, dziedzicznych panów feudalnych, ma swoje znaczenie dla wstecznych sił Anglii i Europy: narody Zachodu mają wielkie trudności w wyrażeniu swojej woli w tej sprawie, a lordowie nie mają żadnej trudności. Postacie strupieszalej przeszłości korzystają skwapliwie, by po dziesiątkach lat milczenia zabrać głos rzekomo w imieniu narodu angielskiego.

DEMOKRACJA — to oznacza w greckim źródłosłowie rządę ludu. Co tam na Zachodzie mówić o rządzeniu, gdy narody nawet swych opinii nie mają możliwości swobodnie wyrażać. A sprawa polega przecież na czymś więcej niż na tym, że w londyńskim Hyde Parku każdy ma możliwość wdrapania się na skrzynkę i wygłoszenia mowy jakiej chce, od czego nic się nigdy nie zmieni. Rządzić, wykonywać władzę, wpływać na rządzenie — to znaczy zmieniać, przyczyniać się do zmiany, kształtować naszą ulicę, naszą dzielnicę, naszą wieś, naszą gromadę, nasze miasto i cały nasz kraj — według wspólnie ustalonych planów. Demokracja — to znaczy, że każdy z obywateli ma prawo wpływania na losy swego kraju, że ma nie tylko prawo wypowiedzania swoich opinii, ale i że ma prawo domagać się, by te opinie przez organa władzy brane były pod uwagę, że ma prawo swobodnego wysuwania swoich kandydatów do organów władzy, że ma prawo swobodnego i tajnego głosowania. Dobre listy kandydatów do rad narodowych powstały w starciu różnorodnych opinii o ludziach, w serdecznej trosce o powołanie do rad ludzi najlepszych, naprawdę reprezentujących obywateli swego terenu.

Możliwe, że tu i ówdzie popełniono takie czy inne błędy i pomyłki. Nasza prawdziwa demokracja jest młoda, my wszyscy jesteśmy młodzi, możemy się w tym czy owym pomylić. Sądzę jednak, że nasi członkowie rad narodowych w Warszawie i we Wrocławiu, we wszystkich Wólkach — ile ich tam jest w Polsce — lepiej będą reprezentować swych współobywateli niż naród angielski reprezentuje ów lord, który odzywa się raz na pół wieku, ale za to przeciw interesom swego narodu.

JAN SZELAĞ

NA KONFERENCJI W MOSKWIE

KONFERENCJA moskiewska nie tylko wskazuje narodom naszego kontynentu, że możliwe jest zbudowanie tamy chroniącej pokój, bezpieczeństwo i życie wszystkich narodów europejskich przed nowym odwetowym Wehrmachtem, ale fundamenty tej tamy wznosi. Czy istnieje w Europie chociażby jeden naród — nie wyłączając niemieckiego — który by nie był w tym najżywniej zainteresowany?

Prawda, istnieją w Europie zachodniej politycy o zdumiewająco krótkiej pamięci, którzy godzą się na politykę imperialistów amerykańskich, ba, uważają się za jej pionierów. Panem tym militarystom niemieckim wydaje się wygodnym narzędziem do realizowania polityki brudnych interesów, polityki zniszczenia tego co niezniszczalne — socjalizmu. Nie ma natomiast ani jednego w Europie narodu — nie wyłączając narodu niemieckiego — w którym wskrzeszenie niemieckiego militarysty nie budziłoby najwyższego i całkowicie uzasadnionego niepokoju.

Cóż dopiero powiedzieć o narodzi polskim! My nie zapomnieliśmy — i nigdy nie zapomnimy września i okupacji, której 6 lat to 6 milionów trupów. My nie zapomnieliśmy — i nigdy nie zapomnimy — dymów nad Warszawą. Dymów Oświęcimia, Majdanka, Treblinki. My nie zapomnieliśmy i nie zapomnimy, że wilczy militarystom niemieckim odbudowany po I wojnie światowej z tych samych pobudek, przez te same koła magnatów finansowych, którzy ten „eksperyment” chcieliby znowu powtórzyć — omal Polski nie zagryzł. I to wśród... brytyjskich „gwarancji” oraz frazesów współczucia, których nigdy nam nie skąpili politycy w rodzaju pana Churchilla. Nawiasem mówiąc, tego samego Churchilla, który przechwala się dziś, że przed zakończeniem wojny — gdy w Oświęcimiu tliły się jeszcze ciała pomordowanych — już rozkazał zbierać broń niemiecką, broń Wehrmachtu w celu ponownego uzbrojenia katów Oświęcimia, Majdanka i Treblinka, morderców narodu polskiego i francuskiego, radzieckiego i angielskiego.

Ale Polska przestała być „krajem biednym, bezbronnym i niezaradnym”.

Nigdy dotąd nie czułem prawdy zawartej w tym twierdzeniu równie głęboko, jak w czasie konferencji moskiewskiej, w której Polska — obok swego wernego sojusznika i przyjaciela, potężnego Kraju Rad — tak ważkie zajmuje miejsce. Nigdy dotąd nie widziałem równie plastycznie słuszności drogi, którą poszedł naród polski pod przewodem swej klasy robotniczej i swej partii — jak tu, w czasie konferencji moskiewskiej.

W przemówieniu ministra Mołotowa, nacechowanym spokojną siłą i przenikliwym widzeniem niebezpieczeństw wyrastających z próby odrodzenia militarysty niemieckiego, podkreślona była gotowość do osiągnięcia porozumienia z mocarstwami zachodnimi. Porozumienia, które może oddalić od całej ludzkości groźbę komplikacji i wojny.

Dwa są niezbędne warunki i podstawy takiego porozumienia:

1. Nie dopuszczać w żadnym wypadku do wskrzeszenia militarysty niemieckiego, który rozpętał pierwszą i drugą wojnę światową, i przystąpić wreszcie z całą wytrwałością i cierpliwością do uregulowania problemu niemieckiego przez osiągnięcie porozumienia przede wszystkim między czterema mocarstwami ponoszącymi szczególną odpowiedzialność za tę sprawę, a tym samym odpowiedzialność za zapewnienie pokoju i bezpieczeństwa w Europie.

2. Stworzyć system bezpieczeństwa zbiorowego w Europie z udziałem wszystkich zainteresowanych w utrwaleniu pokoju państw europejskich, niezależnie od ich ustroju państwowego i społecznego, w którym to celu rozpatrzyć z całą uwagą zarówno istniejący radziecki projekt „ogólnoeuropejskiego układu o bezpieczeństwie zbiorowym w Europie”, jak i propozycje innych państw w tej sprawie.

Jak podkreślił następnie W. M. Mołotow, propozycje Związku Radzieckiego zmierzają do jednego celu — utrzymania i utrwalenia pokoju w Europie. Natomiast u podstaw układów paryskich leżą inne cele. Układy paryskie mają za punkt wyjścia przeciwstawianie jednych państw europejskich innym państwom europejskim, wywoływanie między nimi sprzeczności i dalszy wyścig zbrojeń, co może być podyktowane jedynie planami przygotowania nowej agresji, nowej wojny.

„Dla nas, Polaków, których kraj stał się pierwszym pobojuwiskiem II wojny światowej, nie istnieje żaden argument, który by mógł w jakimkolwiek stopniu przekonać nas, że można na nowo uzbroić militarystów niemieckich bez niebezpieczeństwa ściągnięcia na nasz kraj i wszystkie inne kraje Europy nowej katastrofy” — stwierdził szef delegacji polskiej, Józef Cyrankiewicz.

Z wielką siłą wyraził premier PRL stanowisko naszego narodu, nasze gorące pragnienie pokoju i przy-



Delegatów rządowych PRL: Prezesa Rady Ministrów Cyrankiewicza oraz wicemin. Naszkowskiego powitał na lotnisku centralnym w Moskwie min. Mołotow.

jaznego współżycia ze wszystkimi bez wyjątku narodami. Ale także — nasze zdecydowanie, by nie dopuścić do powtórzenia zbrodni militarysty niemieckiego, albowiem „świat jest za ciasny, by pomieścić jednocześnie wolne narody i militarystę niemiecki”.

Silnie zabrzmiały w przemówieniu szefa delegacji polskiej akcenty sympatii dla narodu francuskiego. „Teoria o nieuchronności zbrojeń niemieckich — mówił premier Cyrankiewicz — to fatalizm Sedanu. Fatalizm nieuniknionej rzekomo francuskiej klęski. Innego dotąd następstwa rozrostu militarysty niemieckiego historia Francji nie zna. I nie zazna”.

Premier Cyrankiewicz przypomniał, dla kogo wskrzeszenie Wehrmachtu stworzyło „pozycję siły” — a dla kogo pozycję rzeczywistej... słabości.

Tej prawdy nie przesłonią przed narodem francuskim najhytrzejsze manewry najsprytniejszych polityków.

Obronić przed groźbą agresji hitlerowskich odwetowców swoją pokojową pracą, dalszy rozwój kraju, wzrost dobrobytu i wzrost stopy życiowej społeczeństwa — oto cel polityki rządu polskiego. Cel, wyrażający najżywniejsze interesy narodu.

W dążeniu do tego celu podtrzymuje nas potęga i braterska solidarność Kraju Rad i całego 900-milionowego obozu socjalizmu, rozciągającego się na dwóch kontynentach — od Morza Chińskiego po Łabę.

Z kipiącej energią i radością życia Moskwy promieniuje spokojna pewność zwycięstwa.

(Wyjtki z korespondencji Bolesława Wójcickiego zamieszczonej w „Trybunie Ludu” z 30.XI br.).

Z KRAJU I ZE ŚWIATA

Z KRAJU I ZE ŚWIATA

Z KRAJU I ZE ŚWIATA

Z KRAJU I ZE ŚWIATA

Z KRAJU I ZE ŚWIATA

Z KRAJU I

POWODZIE WE WŁOSZACH



Keystone

Fala opadów, która przeszła ostatnio przez północne Włochy, spowodowała wiele szkód i zniszczeń. M. in. w Wenecji woda wystąpiła z kanałów i zalalała place i ulice miasta. Przez plac św. Marka przechodzi się kładkami.

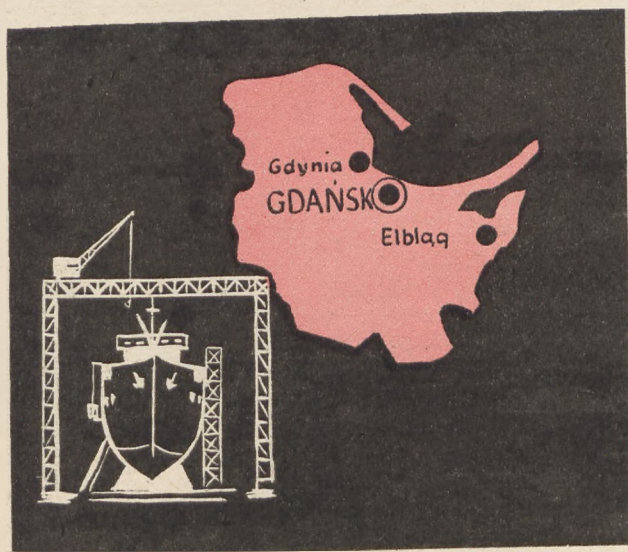
NIEMIECKA MŁODZIEŻ PROTESTUJE



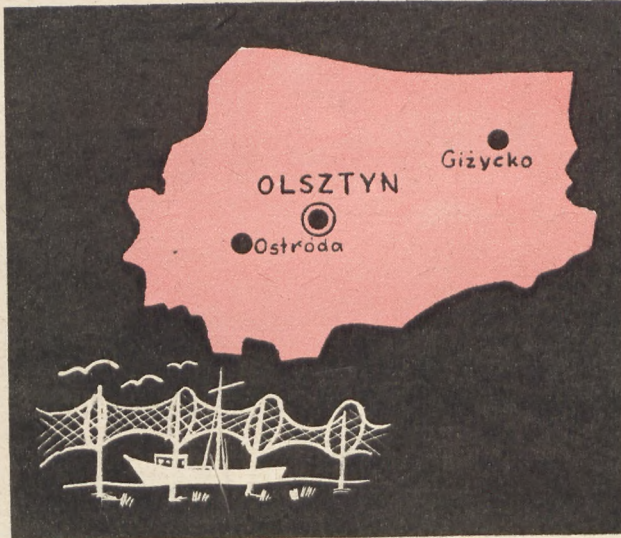
Keystone

W Niemczech zachodnich z każdym dniem wzrasta ilość demonstracji i protestów przeciwko tworzeniu nowego Wehrmachtu. Postępowa młodzież bawarska demonstruje na ulicach Monachium przeciwko próbom remilitaryzacji Niemiec.

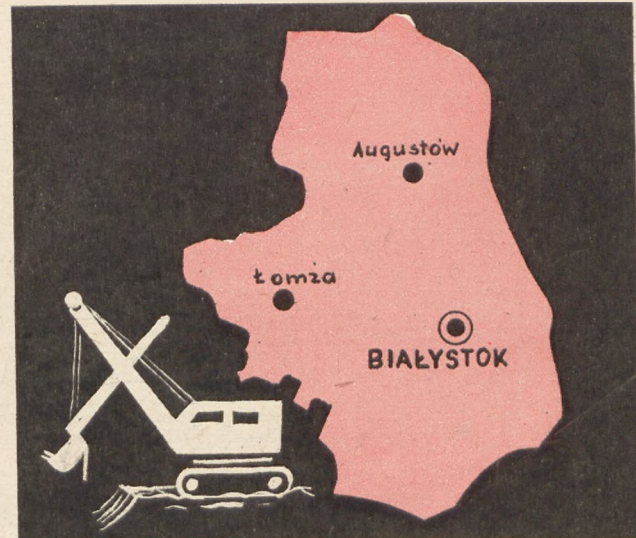
We wszystkich województwach, miastach i powiatach, w wielu osiedlach i gromadach — terenowe Komitety Frontu Narodowego ogłosiły i poddały dyskusji programy wyborcze. Dotyczą one spraw poważnych i drobnych, bliskich i dalekich w czasie, ale łącznie stanowią program działania dla całego naszego narodu. Wezwanie Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego głosi: „Jest to program walki o wzrost dobrobytu i kultury społeczeństwa, o rozkwit naszych miast i wsi. Jest to program walki o wzrost siły naszego państwa i znaczenia Polski w świecie, o umocnienie naszej niepodległości, o pokój i współpracę między narodami. Jest to program rozwoju całej gospodarki narodowej... Wola narodu, wyrażona w tym programie — to określenie dla każdego miasteczka i każdej gromady, dla każdego zakątka kraju zadań, które przed narodem postawił II Zjazd PZPR i które naród przyjął za swoje”. Zamieszczone pod mapkami województw wyjątki z programów wyborczych ilustrują charakter zadań jakie wraz z nowow wybranymi w dniu 5 bm. radami narodowymi realizują mieszkańcy naszych miast i wsi.



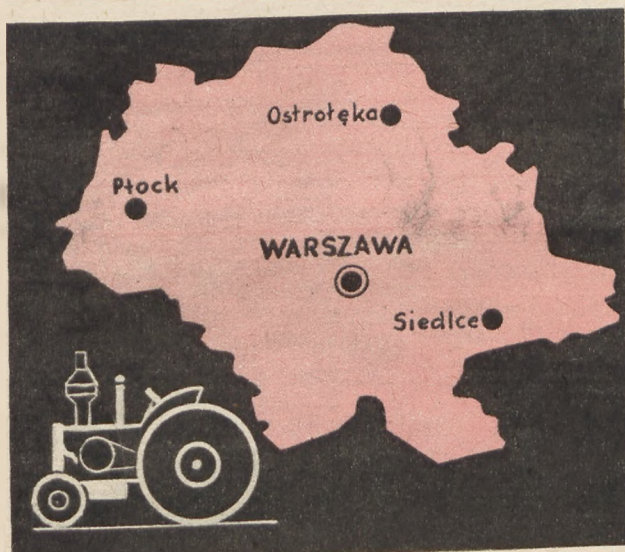
Nasze stocznie, chluba przemysłu Wybrzeża, produkują rokrocznie dziesiątki pełnomorskich statków handlowych. Stworzyliśmy flotę handlową trzykrotnie większą niż przed wojną. Porty nasze w Gdańsku i Gdyni tętnią wyteżoną pracą. W porównaniu z 1946 rokiem ich zdolność przeładunkowa wzrosła 5-krotnie. Nasza flota rybacka liczy dziesiątki jednostek dalekomorskich i setki kutrów rybackich. W okresie 10-lecia zbudowaliśmy 7 osiedli mieszkaniowych w Gdańsku, Gdyni i Elblągu. Zapoczątkujemy w najbliższym trzyleciu planową rozbudowę Władysławowa, tworząc nowoczesną bazę dla rybołówstwa hantycznego. Rozwinęliśmy tam przemysł przetwórczo-konserwowy, chemiczny i śleciarski.



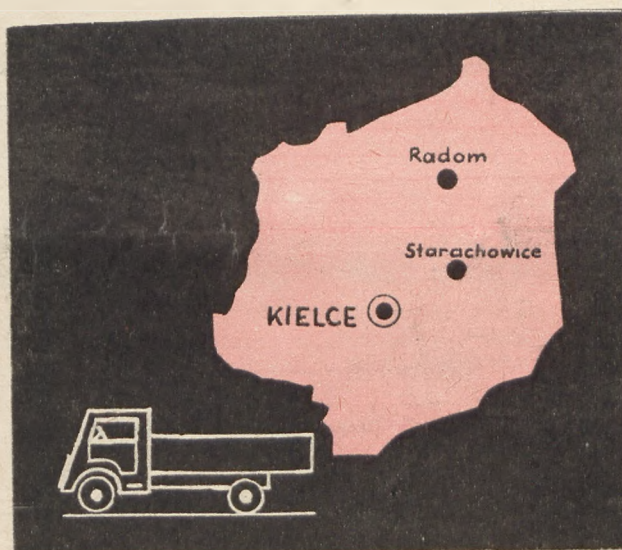
Na polach naszego województwa pracuje już dziś 3.241 traktorów, 134 kombajny i tysiące innych maszyn. Odbudowaliśmy i zbudowaliśmy szereg zakładów przemysłowych, jak w Rucianem, Morągu, Pupach, Miłakowie, Giżycku. Powstała Wyższa Szkoła Rolnicza w Olsztynie. Nowowwybrane rady narodowe powinny skupić wszystkie siły do walki o podniesienie produkcji rolnej poprzez pełne zagospodarowanie odłogów w latach 1954/55. Przed radami narodowymi stoją zadania stałego polepszania warunków bytowych ludności naszych miast przez odbudowę gazowni w Iławie, Węgorzewie, Olsztynku, Suszu, Mikołajkach i Prabutach, budowę pralni komunalnych w Olsztynie, Ostródzie i Kętrzynie.



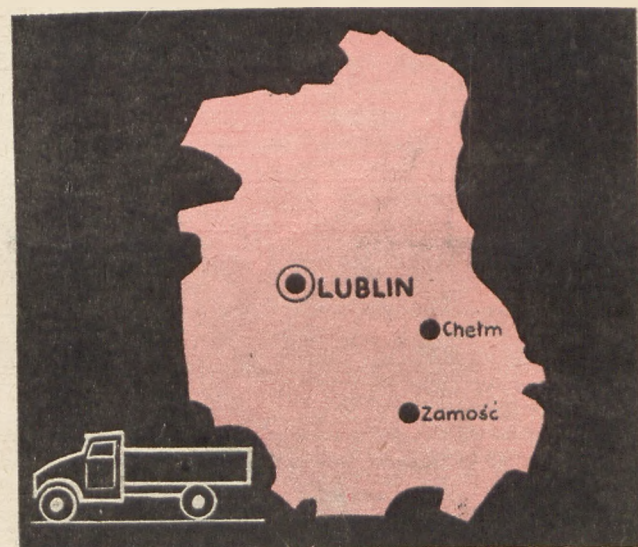
Ponad 50 zakładów przemysłowych wzniesliśmy w ciągu dziesięciu lat. W stosunku do 1944 r. produkcja zbóż chlebowych wzrosła średnio o ponad 400.000 ton, a powierzchnia zasiewów i zbiory pszenicy o prawie 700 proc. Produkcję ziemniaków zwiększyliśmy na przestrzeni dziesięciu lat o 100 proc. Od wyzwoleń zlikwidowaliśmy 140 tysięcy hektarów odłogów i ponad 150 tysięcy ha ugorów. W ponad 300 wsiach świeci dziś żarówka elektryczna, podczas gdy w międzywojennym dwudziestolecu było zelektryfikowanych tylko 18 wsi. Rosnąć będą mury kombinatu w Fastach czy Wallachach, elektrowni w Wiźnie. W dalszym ciągu prowadzić należy meliorację na Kuwasach, Nurcu, Biebrzy i Narewce.



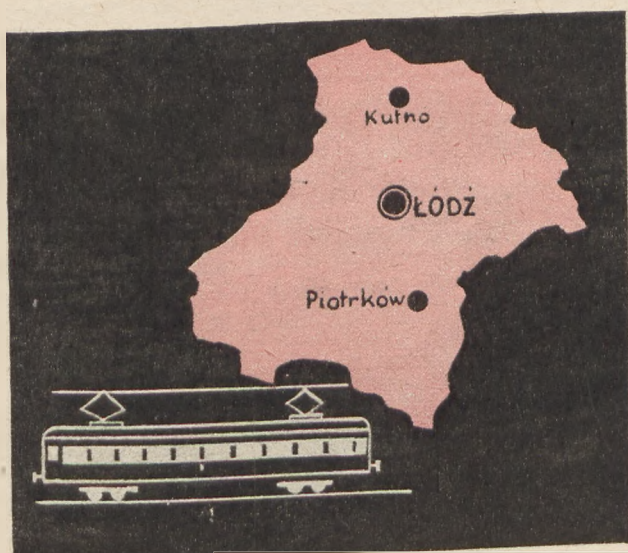
Wielkie zakłady w Ursusie już w roku 1955 produkować będą rocznie co najmniej 8 tys. traktorów. Rozwija się nowa rolnicza fabryka maszyn rolniczych w Płocku. Stale rośnie produkcja zakładów zyrardowskich, fabryki obrabialek w Pruszkowie. Zadaniem rad narodowych i nas wszystkich jest zagospodarować i objąć w pielęgnację 210 tysięcy hektarów łąk. Zbudujemy elektrociepłownię w Ostrołęce, wielkie nowe hale fabryczne w Ursusie i Fabryce Maszyn Żniwnych. Zbudujemy do końca 1955 roku 12 nowych zakładów przemysłu bęterenowego. W 1955 roku 1088 wsi naszego województwa będą zradiofonizowanych. Wybudujemy i odnowimy w najbliższym roku ponad 200 km dróg o twardej nawierzchni.



Zbudowaliśmy Cementownię w Wierzbicy, fabrykę Piłt Pilśniowych w Chrzastowie, dwie duże chłodnie, Fabrykę Grzejników w Wotowie. Niedawno popłynęła surowka z nowego wielkiego pieca w hucie im. Nowotki. Fabryka Samochodów Ciężarowych w Starachowicach — pionier polskiego przemysłu samochodowego — produkuje coraz więcej „Starów”. Wybudujemy nowe hale Fabryki Armatury w Kielcach, a w Zakładach Gipsowych w Busku już w 1955 roku uruchomimy pierwszą produkcję elementów budowlanych. W Radomiu wzniesiemy nowy zakład ceramiki ogniotrwałej. Dla podniesienia hodowli przeprowadzimy meliorację obszarów w rejonie rzeki Nidy, rzeki Ilżanki, Zwlecy oraz Czarnej.



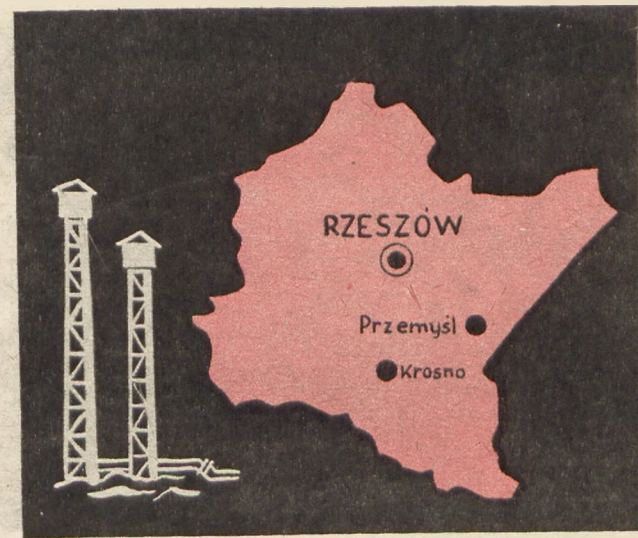
Podczas gdy w ciągu 20-lecia okresu międzywojennego zelektryfikowano w woj. lubelskim tylko 53 gromady, to w okresie 10-lecia władzy ludowej zelektryfikowano 780 gromad. Mamy pełne możliwości wyprodukowania w ciągu najbliższych 3 lat dodatkowo 200 tysięcy ton zboża. Wielki kanał Wieprz — Krzna zamieni ponad 70 tys. ha gruntów zaniedbanych i zabagnionych w wysokowydajne łąki i pastwiska. W najbliższych latach przewiduje się zbudowanie przetwórczych owoców leśnych w Zwierzyńcu oraz zakładów przetwórczych w Popkowiecach, Fajslawicach, Woli Okrzejskiej, Osmolcach, Nasutowie i in. Przewidziana jest także budowa krochmalni i płatkarni w Międzyrzeczu oraz nowej olejarni w Łukowie.



Rozbudowaliśmy i zmodernizowaliśmy Tomaszowskie Zakłady Włókien Sztucznych, Zakłady Chemiczne w Zgierzu, Pabianicach, Fabrykę Maszyn Elektrycznych w Zychlinie. Połączyliśmy koleją żelazną Tomaszów z Radomiem, Skierśniewicę z Łukowem, na linii Warszawa — Łódź uruchomiliśmy wygodne, szybkie pociągi elektryczne. Popłynęła energią elektryczną dla 656 gromad naszego województwa. Zmęgła elektryczna dla 8.000 ha łąk. Województwo nasze posiada dziś trzykrotnie więcej szkół średnich niż przed wojną. Wybudowaliśmy nowoczesne szpitale w Łowiczu, Wieluniu, Sieradzu i Radomsku. W roku 1955 mdzie miast i wsi naszego województwa otrzymają z 3.500 nowych izb mieszkalnych.



W sąsiedztwie prastarego Krakowa rośnie jego socjalistyczna dzielnica Nowa Huta, a Kombinat metalurgiczny im. Lenina — daje krajowi dziesiątki ton surowki i koksu. Popłynęło aluminium w hucie skawiejskiej. Potężne siłownie w Jasie i osiedli. W hucie im. Lenina wybudowane zostaną dalsze nowe obiekty przemysłowe. Rozbudujemy: Kombinat chemiczny w Dworach, Zakłady Azotowe w Tarnowie, Zakłady Hutnicze „Bolesław”. Uruchomimy nowe kopalnie węgla, cynku i ołowiu w rejonie chrzanowsko-olkuskim. Powstanie duża elektrownia w Skawinie, nowe elektrociepłownie w Brzeszczach i przy Zakładach Azotowych w Tarnowie.



Wymazane zostało pojęcie Polski „B” na naszym terenie. W nowych fabrykach, na budowach pracuje ponad 100 tys. osób, tj. 3 i pół raza więcej niż w okresie przedwojennym. Rozwinęło się budownictwo mieszkaniowe — odbudowało się Jasło, rozbudował Rzeszów, Mielec, Stalowa Wola, powstały nowoczesne osiedla w Łańcucie, Dębicy, w Krośnie. Rolnictwo naszego województwa otrzymało w bieżącym roku ponad 64 tys. ton nawozów sztucznych, tj. o 35 proc. więcej, aniżeli w roku ubiegłym. W południowej części województwa prowadzone są już prace przygotowawcze do budowy zapór wodnych i elektrowni na Sanie. W naszym zagłębiu naftowym oddane zostaną do eksploatacji nowe pola naftowe.



Specjalne oddziały „Rangers” organizowane przez Amerykanów już w 1951 roku, nadadza się niewątpliwie przy tworzeniu projektowanej „armii jaskiniowej”

Przeciwko JASKINIOWCOM

EDMUND OŚMAŃCZYK

W TYM SAMYM dniu, w którym dowiedziałem się o propozycji radzieckiej zwołania na dzień 29 listopada br. Konferencji Europejskiej, przeczytałem w zachodnio-niemieckim tygodniku „Der Spiegel”, że „sztab generalny Pentagonu dla określenia typu armii, potrzebnego w przyszłej wojnie, ukuł nowy termin — armia jaskiniowych żołnierzy”.

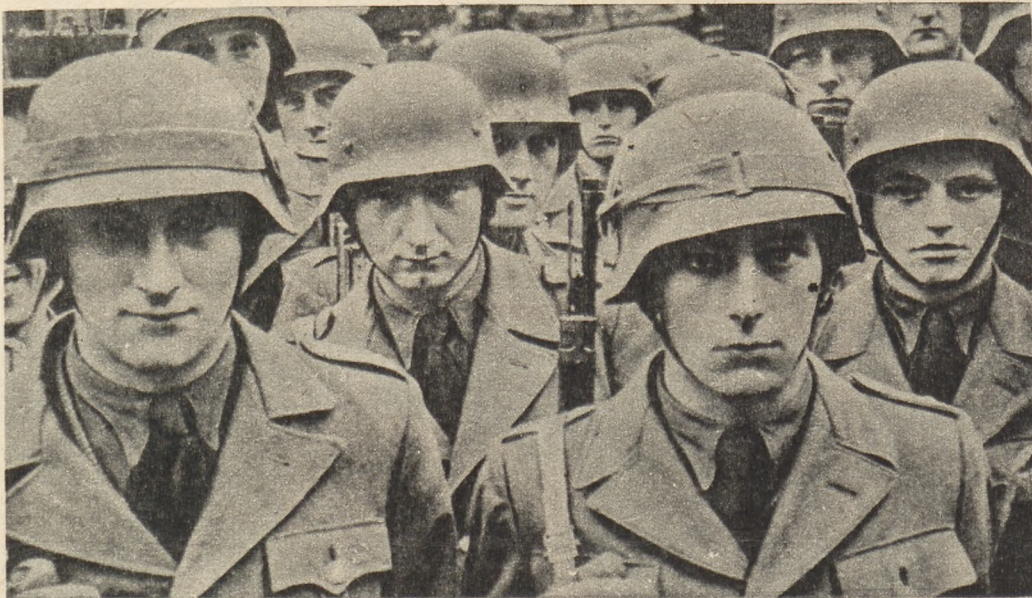
Pentagon to nazwa siedziby amerykańskiego sztabu generalnego w Waszyngtonie. W pięciobocznym tym gmachu pracują amerykańscy oficerowie sztabowi nad planami wojny z całym światem. Zimno kalkulują możliwe warianty III wojny światowej, po czym przedkładają swe wnioski do dowództwa. Z kolei pochylają się nad sztabowymi stołami pięciogwiazdkowi generałowie i z przedstawianych wniosków wyciągają dalsze wnioski, które przekazują swoim z kolei szefom — politykom wielkiego amerykańskiego kapitału.

Oficerowie Pentagonu mają niełatwe zadanie: polecono im opracować plan niezbędnych przygotowań do III wojny światowej, a tymczasem każdy plan jest zły, bo nie gwarantuje zwycięstwa.

O ileż łatwiej — wzdychają sztabowcy Pentagonu — było oficerom Hitlera. Obliczali potrzebną ilość czołgów, artylerii, bombowców do zniszczenia Polski czy Francji, wręczali zamówienie fabrykantom, ćwiczyli żołnierzy i w ciągu kilku lat byli gotowi do uderzenia. Ale to była ostatnia wojna światowa, w której czołgi, artyleria, bombowce odgrywały rolę broni decydujących. W nowej wojnie istnieje broń atomowa, to zaś przekreśla wszystkie dotychczasowe założenia strategiczne. Uderzenie wielkich mas żelaza, na wzór hitlerowskich ataków, staje się absurdem, jeśli wielka zmotoryzowana jednostka może być zmieciona w ciągu ułamka sekundy przez pocisk atomowy z daleka sterowany.

Według prasy zachodnio-niemieckiej i amerykańskiej oficerowie Pentagonu wyciągnęli stąd taki wniosek: atakować należy z powietrza, dążyć do tego, by kraj napadnięty zmienił się w pustynię. Ale znów się martwią, że byłoby to jednak tylko możliwe, gdyby móc atakować tak jak Hitler, każdy kraj z osobna, ot, najpierw Czechosłowację, później Polskę i tak dalej. Ale te warunki już nie istnieją. Narody zmądrzały po hitlerowskiej szkodzie, a Pentagonowcy martwią się więc dalej, że ze względów technicznych, bez zabicia życia w USA, jest niemożliwe zmienienie w pustynię prawie w całości dwóch kontynentów świata — Europy i Azji, a to tylko zapewniłoby bezkarność agresji i panowanie bezkarne Stanów Zjednoczonych nad resztą świata.

Nie zrażeni tak wielkimi trudnościami, sztabowcy Pentagonu zgodnie z poleceniem rozważają jednak spokojnie dalej i dochodzą do wniosku następującego: atak wywoła kontratak i z kolei Europa zachodnia będzie się zmieniała w pustynię w odwet za spustoszenie w Europie wschodniej, zaatakowanej z baz amerykańskich nad Renem, Padem, Sekwaną, Tami-



W Europie trzonem atlantyckiej armii jaskiniowców stać się ma nowy hitlerowski Wehrmacht. W Pentagonie wyliczono dokładnie, ile jaskiniowych dywizji mogą dać Niemcy zachodnie. Wehrmacht ten, ćwiczony według standartów SS, jest amerykańską nadzieją.

zą, Ebre. Podobne totalne szaleństwo miałyby objąć pobraża wielkiego kontynentu azjatyckiego. Stratedzy Pentagonu w atomowych schronach z głębi lądu amerykańskiego kierowaliby zniszczeniem kontynentów Europy i Azji oraz obroną przeciwlotniczą Stanów Zjednoczonych, które w obecnym rozwoju techniki nie mogłyby uniknąć poważnych zniszczeń.

Jak dotąd rzecz najważniejsza — sztabowcy Pentagonu żyją dalej, choć już w ich wyobraźni zginęło ze 100 milionów ludzi. I rozmyślając dalej, według wspomnianej prasy, sztabowcy Pentagonu doszli do rewelacyjnych wniosków. Oto dopiero po spustoszeniach atomowych działać będą mogły armie, których zadaniem będzie okupowanie zniszczonych obszarów i zduszenie resztek bopu. Jednostki wojskowe przechowywane dotąd w atomowych schronach, w górskich jaskiniach, muszą więc być przygotowane psychicznie i fizycznie do marszów wśród zgłiszcz, ruin i trupów, do bytowania w apokaliptycznej pustyni. I muszą być zdolne do dalszych zniszczeń, do dalszych mordów, dokonywanych już bronią ręczną.

Tak zrodziła się w Pentagonie koncepcja o konieczności tworzenia „armii jaskiniowych żołnierzy”, jedynej armii, która w określonym poprzednio momencie wojny posłusznie wykonałaby radiowy rozkaz z pentagonowego bunkru: „Jaskiniowcy na front!”

To wszystko brzmi nieprawdopodobnie, nawet gdy się czyta opisy takiego oto rozumowania w prasie amerykańskiej czy zachodnio-niemieckiej. Niemniej jest faktem, że w wyniku tych oto rozumowań następują już w armii amerykańskiej zasadnicze zmiany w wychowywaniu żołnierzy. Coraz większy kładzie się nacisk na wytrzymałość fizyczną i na totalne otepienie psychiczne żołnierzy. Nie jest tajemnicą, że wzorem dla armii amerykańskiej stał się typ wojsk SS, a system szkolenia esesowców przestudiowany został z całym nabożeństwem w Pentagonie. Ostatnio wprowadzono szkolenie „ideowe”, mające uodpornić żołnierza amerykańskiego na jakikolwiek odruch serca czy myśli w wypadku dostania się do niewoli i czytania tam książek postępowych.

Wszystko to byłoby wewnętrznym tragicznym szaleństwem Stanów Zjednoczonych, gdyby nie fakt, że

w koncepcji strategów Pentagonu główne armie jaskiniowców powstać mają poza Ameryką, w Europie i w Azji, złożone z ludzi tych kontynentów, w myśl otwarcie w Waszyngtonie głoszonej zasady: Europejczycy mają mordować Europejczyków, Azjaci Azjatów.

W Europie trzonem atlantyckiej armii jaskiniowców stać się ma nowy hitlerowski Wehrmacht. W Pentagonie wyliczono już dokładnie, ile jaskiniowych dywizji dać mogą Niemcy zachodnie. To, że na tym terenie Europy znajduje się największa ilość byłych esesów, stało się podstawą wielkich nadziei Pentagonu na stworzenie właśnie tam kadrowej armii jaskiniowców.

W tej obłądnej koncepcji sztabowcy Pentagonu stawiają swoim szefom — politykom wielkiego kapitału USA — jeden warunek, który spełniony być musi przez polityków zanim rozpocznie działać wojsko: narody zachodniej Europy w ten czy inny sposób muszą pogodzić się

z możliwością zamienienia całej Europy w pustynię i zezwolić na tworzenie jaskiniowych armii do walk w europejskiej pustyni.

Wypełniając ten warunek, politycy amerykańskiego kapitału zmontowali tak zwaną „Europejską Wspólnotę Obronną”, którą w roku bieżącym, w przeddzień rocznicy wybuchu II wojny światowej, odrzucił naród francuski. Po tej klęsce politycy atomowego obłędu zmontowali w Londynie nową organizację, którą teraz w najbliższych dwóch miesiącach zatwierdzić mają parlamenty szeregu krajów Europy zachodniej. Nowa organizacja różni się od pierwszej tylko formą, treść pozostała ta sama, i trzonem jej ma być nadal kadra hitlerowskich jaskiniowców.

Propaganda wojny prowadzona z inspiracji Pentagonu w Stanach Zjednoczonych powoduje histerię atomową



krieg-I- und Weltkrieg-II-Erfahrungen anstrebt, kann in der Bundesrepublik auf der durch den Untergang der Wehrmacht geschaffenen Tabula rasa nunmehr vollkommen neu aufgestellt werden: eine Armee von „Steinzeit-Soldaten“ — so das Schlagwort, das die Generalstäbler des Washingtoner Pentagon für ihr neues soldatisches Wunschbild geprägt haben.

Allein schon diese und ähnliche Begriffe des modernen Generalstabs-Jargons — „Wüstenkrieger“, „Steinzeit-Infanterie“ — enthüllen etwas von der apokalyptischen Spannung, die heute dem Waffenhandwerk eigen ist. In den Berechnungen des atomaren Strategen nimmt zwangsläufig die „totale Katastrophe“ — der Untergang der Weltzivilisation überhaupt — den Platz einer realen Möglichkeit ein. Umgekehrt wohnt aber dieser fürchterlichen Vision im dialek-

Fotokopia artykułu na temat jaskiniowców, zamieszczonego w zachodnio-niemieckim tygodniku „Der Spiegel“.

Hans Friedlaender, od lat głośni publicznie, że należy przygotować się „psychicznie“ do bratobójczej wojny Niemców zachodnich z Niemcami wschodnimi, mimo że jednocześnie fachowcy z Pentagonu w prasie zachodnio-niemieckiej głoszą otwarcie, iż dla podzielonych Niemiec oznacza to zagładę cywilizacji tego kraju w ciągu pierwszych dni atomowo-wodorowej wojny.

Każdy rozsądny człowiek powie, że to przecież obłąd! Słusznie. I dlatego też opór i narodu niemieckiego, i narodów zachodniej Europy, i narodów całego świata jest tak olbrzymi; i dlatego tak ogromne echo mają radzieckie apele do rozsądku, jakimi są wciąż nowe propozycje radzieckie, domagające się zakazu broni masowej zagłady, rozbrojenia i paktów bezpieczeństwa zbiorowego.

Moralna izolacja planistów zagłady, polityków i sztabowców USA staje się w świecie coraz powszechniejsza. Odczuli to już raz Amerykanie w tym roku — w Genewie. Boją się więc i przeciwstawiają się każdej nowej międzynarodowej konferencji, która mogłaby umocnić pokój.

Dla ludzi myślących, a tych jest w świecie coraz więcej, mimo amerykańskiej propagandy na rzecz jaskiniowców, o życiu międzynarodowym decyduje dziś rozwój techniki, który przesądził treść nowej światowej wojny. Wszyscy uczeni, stratedzy Wschodu i Zachodu, są zgodni co do tego, że użycie broni masowej zagłady gwarantuje tylko jedno: zniszczenie cywilizacji ludzkiej.

Skoro żyjemy w nowej epoce, która albo grozi zagładą ludzkości, albo może być błogostawiona najwyższym i najszybszym w dziejach rozwojem cywilizacji, zatem należy żądać od polityków, by wykluczyli groźbę zagłady zapewnieniem bezpieczeństwa wszystkim narodom i przyspieszyli rozwój cywilizacji w całym świecie.

Stany Zjednoczone, jak dotąd, mają do zaoferowania światu tylko „armie jaskiniowych żołnierzy”. Związek Radziecki ofiarowuje pokój wszystkim narodom, żądając w imieniu ludzkości pokojowego współistnienia narodów.

Stany Zjednoczone odrzucają propozycje stworzenia bezpieczeństwa dla wszystkich narodów i z uporem tworzą organizacje morderców i samobójców zarazem.

Za czym głosem pójdą narody? Nauczycieli zbiorowego samobójstwa, czy nauczycieli życia narodów w pokoju?

Nie ulega wątpliwości, że siła moralna i polityczna miliarda ludzi, tworzących obóz pokoju, jest tu decydującym czynnikiem, wzmocnionym przez drugi miliard ludzi buntujących się przeciw siłom wojny w ich krajach.

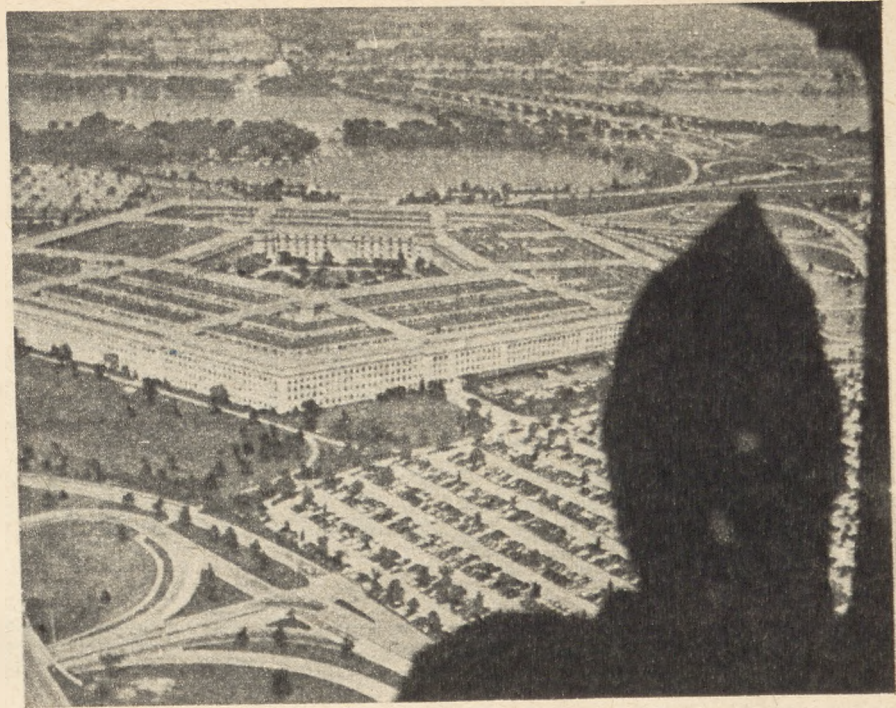
Zdaje sobie sprawę, że ten czarno-biały obraz wydać się może przesadny, ale przypominam, że już raz wyobraźnia ludzka była za mała na to, by pomieścić zbrodnie przygotowane na zimno przez sztabowców Hitlera.

Prawda dziś jest tylko jedna:

Pokój w naszej epoce jest niepodzielny. Bezpieczeństwo Niemiec zachodnich jest tak samo ważne jak bezpieczeństwo NRD, Francji, jak Polski, Stanów Zjednoczonych, jak Chin Ludowych, Wielkiej Brytanii, jak Związku Radzieckiego.

Stany Zjednoczone nie chcą bezpieczeństwa dla NRD, Polski, Chin, Związku Radzieckiego i tym samym nie chcą pokoju dla całego świata, pokoju, który jest niepodzielny.

Związek Radziecki natomiast chce bezpieczeństwa wszystkich państw i narodów świata, nie z lęku o swój los, lecz z uzasadnionej troski o los cywilizacji całego globu, całej ludzkości.



W pięciokątym gmachu Pentagonu pracują amerykańscy oficerowie sztabowi nad planami wojny z całym światem. Zimno kalkulują możliwe warianty trzeciej wojny światowej. Żaden plan jednak nie gwarantuje zwycięstwa.

W USA rozważa się, w jakich bunkrach trzeba zamknąć jaskiniowców, by mogli w odpowiedniej chwili wyjść na „pustynny” front.

W obozie pokoju rozważa się natomiast, jakie jeszcze drzwi należy pootwierać do pokojowego współistnienia, by stworzyć najkorzystniejsze warunki zbiorowego bezpieczeństwa narodów Europy i świata.

Taki jest głęboko moralny, polityczny sens propozycji radzieckiej zwołania na dzień 29 listopada Konferencji Europejskiej w sprawie bezpieczeństwa wszystkich narodów Europy i — Stanów Zjednoczonych.

W Polsce, pamiętającej hitlerowskich jaskiniowców, pokojowa polityka radziecka jest popierana przez cały naród.

Ostatnio słyszałem, jak na jednym z zebrań Frontu Narodowego w dyskusji nad problemem zakazu broni masowej zagłady i bezpieczeństwem zbiorowym zabrał ktoś głos i powiedział:

— Gdyby świat w erze atomowej podzielony był na dwa kapitalistyczne obozy, nic nie uratowałoby cywilizacji ludzkiej od zagłady. Na szczęście ludzkość w erę atomową weszła wraz z siłą moralną i polityczną obozu socjalizmu i dlatego wbrew wszystkim siłom wojny umacnia się i umacniać się będzie pokój.

Tak myślą ludzie w Polsce, dumni, że należą do obozu, który troszczy się o pokój dla wszystkich narodów.

Narody tak Europy jak i Azji protestują przeciwko polityce wojny i siły, przeciwko amerykańskim planom i prowokacjom. Na zdjęciu: ludność indonezyjska demonstruje żądając zaprzestania prób z bombą wodorową.



o olbrzymim zasięgu. Młodzież wielu uczelni zmuszana jest do przeprowadzania „ćwiczeń” atomowych.



Obywatel RAYMOND



ARTUR MIĘDZYRZECKI

W SALONIE księżniczki Krystyny di Belgiojoso służba zapala woskowe świece i wenecki żyrandol wspaniale roz-
błyśkuje różowym i zielonym szkłem. Za oknem zmierzcha się coraz bar-
dziej, niebo Paryża pełne jest chmur, fioletowa mgła przypomina o jesieni. Na ulicy uderzają o bruk końskie ko-
pyta i turkot koła pojazdu. Później turkot urywa się gdzieś blisko, nie-
widoczny jeszcze gość wysiada i wstępuje na schody, za chwilę wejdzie między tłum gości, odnajdzie przy-
jaciół, wymieni z nimi okolicznościowe uprzejmości i kilka dobrych, pieczołowicie przygotowanych aneg-
dot.

Krystyna di Belgiojoso dobiera zresztą gości sta-
rannie i z rozumą. Bywa tu niemało wprawdzie i młodych ludzi, ale któż zaprzeczy, że taki na przy-
kład pan Balzac jest jednak człowiekiem utalentowa-
nym i obiecującym. A Henryk Heine, a Musset, a inni bywalcy, tacy jak Liszt, Bellini, historyk Amari, Vover d'Argenson, Daumier, David d'Angers, albo i chociażby Fryderyk Chopin, który gra dzisiaj w salonie księżniczki di Belgiojoso Rewolucyjną Etiudę! Kiedy kończy się koncert, siedzący nieopodal starzec powstaje z miejsca i długo ściska białe, delikatne ręce kompozytora.

— Dziękuję ci, mój drogi — mówi głosem uro-
czystym i wzruszonym. — Twoja sztuka będzie skarbem ludzi wolnych i dumą narodów.

— Dalekie sprawy! — rozważa w głos Bellini. — Czy przyszłość zachowa nasze dzieła? Czy choćby cokolwiek wiedzieć możemy o nowych drogach świata?

— O nowych drogach świata? — powtarza stary człowiek i jego szare oczy mrużą się jakby zapalo-
no przed nim dwadzieścia potężnych świeczni-
ków. — Sztuka przyszłości, jako własność powszech-
na, pobudzona zapewne zostanie nowymi społecz-
nymi impulsami. Sądzić można również, że oczyści się wtedy i poszuka środków artystycznego wyrazu na miarę ludzkości szczęśliwej. Albowiem przyświe-
cać jej będą wówczas ogromne koncepcje, jedyne, które godne są rzeczywistej cywilizacji.

Mówi jak prorok natchniony, jego południowy

„Obywatel Raymond” jest fragmentem większej całości, wyjętym z tomu szkiców, które ukażą się nakładem „Iskier”.

akcent nie razi już nikogo, kiedy zwraca się znowu do Bellini'ego, ten patrzy mu prosto w oczy, za-
ciekawiony i przejęty.

— Wszystko, co światu nowemu staje na przesko-
dzie, będzie pyłem. Wszystko, co wychodzi mu na-
przeciw, zachowane zostanie w sercach potomnych. Ta etiuda... właśnie ona...

Przerywa w pół zdania i podaje ramię księżniczce Krystynie. Odchodzą o kilka kroków, stają, wydaje się, że trudno o większe przeciwieństwo. Ona jest jedną z najwytworniejszych kobiet lipcowej mo-
narchii, w jego zaś przedziwnym stroju wysłużone szwajcarskie kamasze walczą o lepsze z kurtką a la Robespierre, pamiętającą, być może, burzliwy paryski rok 1793. A jednak znają się nie od dzisiaj. Sędziwy Filip Buonarroti jest jej stałym gościem odkąd znowu, po długim wygnaniu, stanął na fran-
cuskiej ziemi; nie dalej jak sześć lat temu, gdzieś na wiosnę, Krystyna di Belgiojoso wręczyła Po-
wszechnej Karbonarii Demokratycznej trzydzieści pięć tysięcy austriackich lirów, przeznaczając je na wyekwipowanie ochotników wyprawiających się do Sabaudii. Buonarroti był wówczas i pozostał jednym z karbonariuszy najbardziej wpływowych. Przewod-
niczący Włoskiego Centralnego Komitetu Rewolu-
cyjnego był jednocześnie powszechnie szanowanym przywódcą demokracji francuskiej, brał wybitny udział w organizowaniu tajnych republikańskich towarzystw działających we Francji Ludwika Filipa, jego dzieło o Sprzysiężeniu Równych kształtowało polityczną świadomość Stowarzyszenia Przyjaciół Ludu i Stowarzyszenia Praw Człowieka, pod osobis-
tym wpływem Buonarroti'ego znajdowali się bo-
jownicy i publicyści, Raspail, Cabet, Blanqui, Louis Blanc i najbliżsi towarzysze i przyjaciele — Charles Teste i Vover d'Argenson.

Niektórzy z tych ludzi bywali w liberalnym sa-
lonie. często tutaj właśnie nawiązywały się między-
narodowe kontakty, a Filip Buonarroti symbolizował je nieomal: uosabiał nie tylko niezłomność prze-
konań, ale także międzynarodową niepodzielność spraw i jedność serca, które dla spraw tych było nieodmien-
nie żarliwie.

— A więc ustąpił pan jednak naleganiom d'Argen-
sona — mówi Krystyna di Belgiojoso i w głosie jej dzwięczy radość. Buonarroti skłania głowę i nie-
znacznie wznosi dłonie w geście prawie obronnym

— D'Argenson to syn dla mnie, syn odnaleziony u schyłku życia. Przyjąłem jego zaproszenie, bo mieszkanie na Saint Lazare było puste i chłodne, a ja, moja droga, czuję się ostatnio nienajlepiej.

Rozmawiają o przeprowadzce sprzed kilku dni. Po śmierci żony Buonarroti za-
mieszkał w domu swego ucznia i na usilne jego prośby postanowił rzucić w końcu nie-
wdzięczne zajęcie prywatnego nau-
czyciela muzyki. Drogi, szlachetny d'Argenson! Jest wiele rzeczy, o ja-
kich Krystyna di Belgiojoso i Bu-
onarroti nie wspo-
minają ani słowem, chociaż zna-

ją je doskonale. Nie ma przecież poważniejszej or-
ganizacji demokratycznej, w której kierownictwie nie zasiadłby Vover d'Argenson. Buonarroti wie nawet więcej: d'Argenson związany jest z ugrupowaniami Blanqui'ego utworzonymi nazajutrz po lyońskich wy-
darzeniach 1834 roku, a w Stowarzyszeniu Praw Czło-
wieka reprezentuje lewe skrzydło, to właśnie, którego zwolennicy nadają swoim sekcjom imiona „BABEUF” i „BUONARROTI”. Główną ideą d'Argensona jest strajk generalny i organizacja związków zawodowych, które w Paryżu, Lyonie, Nantes i Marsylii próbuje zakładać wespół z adwokatem Dufrainse i doktorem Recurt. Podobnie jak dla Charlesa Teste, nazwisko i poglądy Buonarroti'ego są dlań sztandarem i natch-
nieniem. Podsumowując ten stan rzeczy, Louis Blanc napisze w „Historii dziesięciu lat” o „ubogim, utrzymu-
jącym się z trudem dzięki kilku lekcjom muzyki” sta-
rym rewolucjonście, który „z głębi mroku rządził szla-
chetnymi umysłami, naciskał ukryte sprężyny, w śro-
dowisku, gdzie panowały jego wpływy, kierował pro-
pagandą i zależnie od okoliczności przyspieszał lub ha-
mował rozwój ruchu”.

Teraz kończy się wreszcie dreptanina na lekcje, w domu d'Argensona oczekuje go ciepło przyjaźni, graniczący z uwielbieniem szacunek, uważna tro-
skliwość.

— Cóż począłby ze swoją starością w dawnym mieszkaniu, sam jeden w czterech obojętnych ścianach, w paryskiej klatce, gdzie przepędził ostatnie lata, a gdzie znaleźć się mógł tylko dlatego, że po wielu zabiegach wystarano się dlań o fikcyjny paszport, w którym potomek Michała Anioła otrzymywał nie nikomu nie mówiące nazwisko Raymond?

Zamyślona gospodyni żegna się z gośćmi. Filip Buonarroti wyszedł pół godziny temu, jest już u sie-
bie, stoi w oknie i spogląda w ciemną paryską ulicę oświetloną światłami okien i drżącymi latarniami konnych pojazdów oczekujących przed pobliskim budynkiem. Buonarroti nie czuje się dobrze. „Mój żołądek bardzo się osłabił, uderzenia krwi do głowy kilkakrotnie pozbawiały mnie przytomności...”. Po tym liście napisanym do któregoś z przyjaciół odczuł pewną ulgę i pocieszył samego siebie możliwością beznamietnego orzeczenia. — A jednak nie jest to łatwe, jeśli idzie o swój własny żołądek — uśmiecha się w myślach, prawie niedostrzegalnie unosząc kąciki ust. Ostatnio często się tak uśmiecha do znajo-
mych przedmiotów, do własnych myśli, do stu rze-
czy, które mijają i odchodzą. Przypominają one pył strzepywany ze stołu przez łagodny wiatr, który roz-
chyła firanki, lekki wiatr w chłodnym słońcu paź-
dziernikowym, zapóźniony i tkliwy.

Poczucie przemijania towarzyszy Buonarrotiemu od Szwajcarii i Belgii, nasila się z każdym dniem, każe powiedzieć żegnajcie ludziom i sprawom. Że-
gnajcie! Mówi to całym sobą, siwy, zgarbiony, cierp-
liwy wobec własnych dolegliwości, wierny prze-
żytym epokom, ale zapatrzony w przyszłe dni. Led-
wie kilka miesięcy temu jakże chłonał inwokację Musseta! „Spowiedź dziecięcia wieku” przyniósł mu Robert Babeuf — syn Grakchusa. Dziwnie jest spo-
glądać na tego poważnego księgarza, ojca rodziny, lecz i on uzmysławia, ile to minęło lat, ile lat! Gra-
kchus byłby dziadkiem, nie rozstawaliby się zapew-
ne, a zresztą, któż to wiedzieć może? Tamte zaś zda-
nia Musseta zapamiętał dobrze, wydawało mu się nawet, że napisane zostały również i w jego imieniu:

„O, ludy przyszłych stuleci... O, ludzie wolni... pomyślcie o nas, których już nie będzie, powiedzcie sobie, żeśmy bar-
dzo drogo kupili spokój, którego wy będziecie zażywać, za-
ludźcie nas bardziej niżli wszystkich swoich ojców...”

Podchodzi do biurka, patrzy na rozłożone papiery i nagle ściska mu się serce. Nie ma jej, nie ma! W jednej chwili czuje na sobie spojrzenie oczu peł-
nych miłości. Z jakim przejmującym lękiem spoglą-
dały niegdyś na niego z sali sądu w Vendome! Póź-
niej, po wyroku skazującym go na dożywotnie ze-
słanie, nosił w sobie wzrok żony przez długie mie-
siące rozłąki. Przyjechała do niego, zadrepczona i ufna, dopiero na wyspę Oleron, do miasteczka Sainte Pierre, i nie rozstali się już nigdy. Umierała w paryskim mieszkaniu na Saint Lazare, patrząc na

14 LIPCA 1789. ZDOBYCIE BASTYLII.



niego tak samo jak wtedy, kiedy byli jeszcze młodzi, w Vendôme, na Oleron, w Sospel, w Genewie...

— Beznamiętne orzeczenie — szepce bezgłośnie stary człowiek i siada w fotelu. Ach, to nie tylko sprawa własnego losu. To trudna, piekielnie trudna sprawa ogromnych rzesz ludzi i wielu krajów. Doświadczony karbonariusz wie zresztą doskonale, co o tym sądzić, długa nauka była kosztowna i bolesna. A przecież nie wszyscy umieli się uczyć, nie wszyscy!

Ot, choćby i Mazzini: ten człowiek pływa po powierzchni życia jak kaczka po wodzie, zjawisk dziejących się w głębi ani widzi, ani rozumie. „Misja opatrnościowa rządzących idei” — wzdycha z przekąsem Buonarroti i krzywi się do jakiejś niewidocznej książki w bibliotece. Oto i nieszczęsna bufonada Młodych Włoch, Młodych Niemiec, Młodej Szwajcarii i całego tego niewypierzonego młodoeuropejskiego komitetu. Mazziniści raczą uważać, że nie ma we Włoszech sił kontrrewolucyjnych i że wystarczy deklamować o biedakach i republice albo wołać na całe gardło: „Bóg i ojczyzna!”. Zupełnie jak ten emisariusz, który trzy lata temu nakłaniał go do poparcia nowej awantury. Stał przed Buonarrotim, w kabotyńskim geście rozkładał ramiona i wołał, że wszyscy we Włoszech czekają na zbrojny legion, który wymaszerować ma z Genewy i Lyonu. Legion! Każde dziecko wiedziało, że policja szwajcarska i francuska naszpikowały go agentami i że austriackie władze policyjne poinformowane są o każdym kroku ludzi Mazziniego.

Powiedział emisariuszowi, co o tym myśli. Legion jest gniazdem prowokatorów i przytułkiem bonapartystów. A poza tym? Poza tym rewolucja nie stanowi towaru do przewożenia. Musi ona narosnąć w samych Włoszech, w oparciu o masę ludu i agitacyjną działalność organizacji. Mam już siwe włosy — powiedział jeszcze — i nie pokładam zaufania w krasomówstwie bez pokrycia. Lubię myśli rzetelne i głębokie, nie takie, co świecą przez chwilę fałszywym światłem, ale takie, które zawsze — na słowie zawsze położył nacisk — kierują się troską o dobro ludzi i szczęście na ziemi.

Emisariusz wiercił się nerwowo i wyszedł wreszcie, a Mazzini pojechał do Genewy. W początku roku 1834 nastąpiła operetkowa inwazja, zakończona masowymi aresztami i ogólną demoralizacją. A przecież mogli i powinni się nauczyć! Powinni!

Zmęczone serce Buonarroti'ego skarży się znowu i skomle, łomocze ciężko pod starczą dłonią przyłożoną do piersi, później uspokaja się i znowu stuka rytmicznie. Klęski tych lat nie zrobiły mu dobrze, od roku trzydziestego nadzieje padały jak zestrzelone ptaki, rzuciły długi trzepocący cień, kazaly zamknąć się w sobie i w męce wypatrywać nowego brzasku. W lipcu szanregret La Favette trzasnął biczem i rewolucja zaprzęgnięta została do orleańskiej karocy. W tym samym roku tysiąc osiemset trzydziestym powstał Belgowie, ale już we wrześniu belgijscy bankierzy zagarnęli owoce zwycięstwa i wybrali rząd tymczasowy na obraz i podobieństwo swoich życzeń.

W dwa miesiące później nadeszła do stolic Europy wiadomość o polskim powstaniu. Zdradzone przez nieudolnych dowódców krwawiło ono i padało pomimo męstwa żołnierza. C a r a, p o v e r a P o l o n i a, nigdy nie widziana, ale droga i bliska jak własny kraj! Buonarroti zna wielu jej synów, braci w wygnaniu, towarzyszy walki i wspólnej nadziei. Jeszcze wiosną roku 1831 przyswiewała ona jednako powstańczej Warszawie i opanowanej przez insurgentów Modenie. We Włoszech powstanie objęło państwo papieskie i wszystkie prowincje, trójkolorowy sztandar zaszmukał na bolońskiej wieży, mówiono powszechnie o pochodzie na Rzym. Ludwik Filip sekretnie zapewnił jednak papieża o swoim dla niego poparciu, zapewnienie zaś miało skutki błyskawiczne: natychmiastową papieską prośbę o interwencję wojsk austriackich, wkroczenie armii Habsburgów, rozbicie sił powstańczych. Ruch wyzwolenczy wycofywał się z pól bitewnych, schodził w znajome zaułki Genui i Turynu, tam też rozniosły się głośnie echem słowa Buonarroti'ego z piemontkiej odesywy:

„Niechaj wała się trony i padają monarchie, niechaj się wznieś na ich rumowisku Republika — od Alp do brzegów morza, jedna i niepodzielna!”

Bojowy ton apelu nie był bynajmniej samym tylko wspomnieniem jakobińskich proklamacji z okresu Robespierre'a. Mimo wszystkich bowiem goryczy i rozczarowania działały się rzeczy doniosłe i pocieszające, wieści o nich napływały ze wszystkich krajów kontynentu, ostatnio przykuły uwagę Buonarroti'ego wydarzenia angielskie.

Oddźwięk rewolucji lipcowej okazał się w Anglii niespodziewanie silny, a uchwalenie Reform Bill w roku 1832 świadczyło o sile tamtejszych robotników. Popularności teorii Owena — Buonarroti cenił ją i kilkakrotnie brał w obronę — towarzyszył ogromny wzrost organizacji zawodowych.

Publikacja leżąca na biurku przed Buonarrotim stanowiła zaś jeszcze jedno świadectwo szerokiego zainteresowania, jakie okazuje się na wyspach brytyjskich francuskiemu ruchowi rewolucyjnemu. Czartysta Bronterre O'Brien powiadał w specjalnym prospekcie o tym, że wkrótce ukaże się jego przekład „Sprzysiężenia Równych”. Tłumacz jest znanym działaczem i publicz-

stą, rozpoczął pisanie zyciorysu Robespierre'a, brak mu jednak zapewne dokładniejszych danych. Z tego, co podaje w swoich komentarzach, wynika na przykład, że autora „Sprzysiężenia Równych” nie ma już na tym świecie. Angielski tłumacz nie potrafił także odcyfrować wielu pseudonimów podanych w książce.

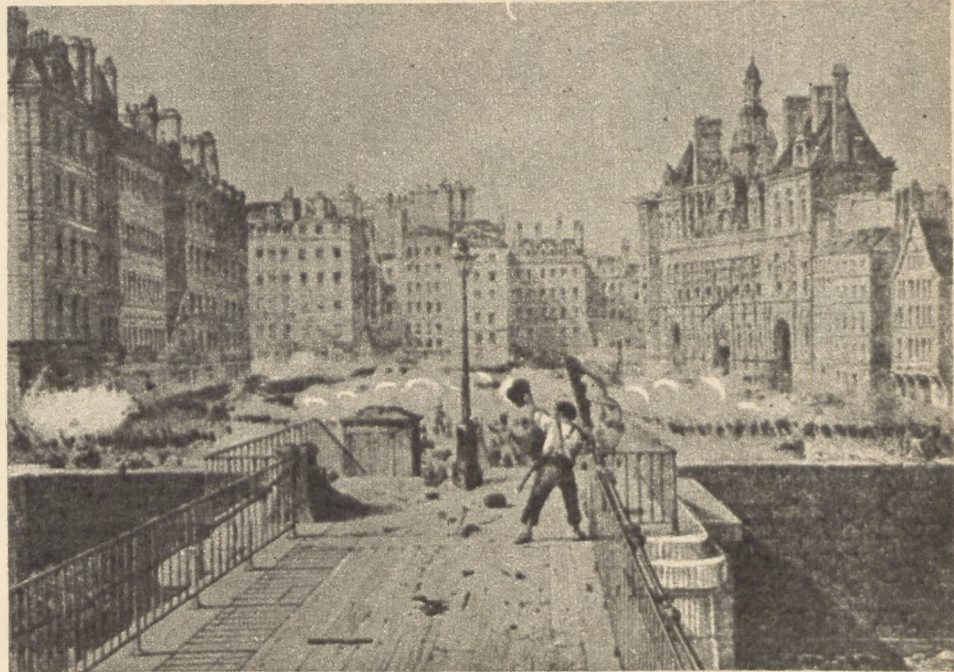
Buonarroti postanowił więc napisać do Bronterre'a i powiadomić go o swoim istnieniu. Odkłada to do jutra, gdyż czyż służyć mu już nienajlepiej. Raz jeszcze bierze do ręki angielski prospekt, myśli przez chwilę, powstaje z fotela. O ósmej rano siedzi na nim znowu, pochyla się nad rozłożoną na biurku kartką papieru, odczytuje powoli pierwsze słowa listu, przed chwilą postawione.

„Bracie mój, nie opuściwszy jeszcze grona żyjących, poczytuję sobie za szczęście, że mogę wyrazić ci ukontentowanie, które odczułem, gdyś mi dowiedział się z rozpowszechnionego przez Ciebie pisma o gorliwości, z jaką zdecydowałeś się opublikować po angielsku moją historię sprzysiężenia Babeufa. Przyjmij moje z głębi serca płynące podziękowanie. Winienem je człowiekowi, którego miłość bliźniego bierze górę nad zniechęceniami i prześladowaniami, grozącymi zawsze każdemu, kto odważa się podnieść głos przeciw instytucjom przemocy i mości drogę postępowi prawdy i sprawiedliwości. Widzę z radością prawdziwą, że również i w Anglii znajdują się szczerzy przyjaciele tej szlachetnej równości, w imię której miałem zaszczyt dołączyć moje niewielkie wysiłki do o wiele bardziej celnych działań przyjaciół moich, tych, którzy własną krew a przypieczętowali wspólną sprawę...”

Rozmyśla o zamordowanych towarzyszach, Grakchusie Babeufie, Augustynie Darthe, o paryskim więźniu Plessis, gdzie poznał tylu przyszłych współbojowników, miera Lyonu Bertranda, Debona, Józefa Bodsona... Charles Germain i Grakchus Babeuf przewiezieni zostali do Plessis z więzienia w Arras. Ile to było lat temu? Czterdzieści jeden, w dziewięćdziesiątym piątym roku, tuż po zajęciach w mieszkaniach germainu i prairialu. W marcu ludzie z paryskich przedmieść zaatakowali reakcyjną konwencję. W maju powstał znowu przeciw skorumpowanemu rządowi Dyrektoriatu, żądali przywrócenia jakobińskiej konstytucji 1793 i nowych wyborów. Dyrektoriat odpowiadał mobilizowaniem wojska i wysłaniem oddziałów przeciw Paryżowi. Wydawało się, że republika ginie i, zaprawdę, nie było to złudzeniem. Zabójcy Robespierre'a wypowiadali wprawdzie wiele grzmiących frazesów o równości i braterstwie, i nawet Grakchus Babeuf pozwolił się okłamać, witał zamach 9 termidora jako akt rewolucyjny. Babeuf atakował wtedy Robespierre'a z lewa, zarzucał mu, że nie dość konsekwentnie występuje przeciw bogaczom, solidaryzował się z wieloma postulatami hebertystów i „wściekłych” i dlatego także pomylił się w ocenie wydarzeń. Przyznawał to jednak wkrótce z odwagą i goryczą w długich więziennych rozmowach. Buonarroti nauczył się też od Babeufa nie tylko nowych myśli o istotnych treściach historii, o „wyzyskiwaczach i wyzyskiwanych”, o „wojnie biednych przeciw bogatym”, o „24 milionach występujących przeciw złotemu milionowi” i wreszcie — o społecznej rewolucji, nieodwołalnej i sprawiedliwej. Nauczył się także tej szczególnej i najwyższej odwagi, która pozwala przyznać się do popełnionych omyłek i wyciągnąć właściwe wnioski. „Przyznaję szczerze, że zły jestem bardzo na siebie. Za to miłanowicie, że w czarnych jedynie kołach widziałem rząd rewolucyjny. Robespierre'a i Saint Justa...” Jaka ogromna uczciwość była z tych zdań Babeuf! Liczył wtedy 31 lat.

A Buonarroti, drugi więzień z Plessis? Był wówczas człowiekiem 34-letnim. Kiedy wychodził z więzienia wręczono mu kartę tożsamości zawierającą następujący rysopis: włosy i rzęsy: ciemne; czoło: szerokie; oczy: szare; usta: średnie; podbródek: okrągły; twarz: owalna.

Karta nosiła również datę i miejsce urodzenia. Odczytując ją przypominał sobie oczystą Toskanę, dzieciństwo i młodość, dom rodzinny, w którym chlubił się Michałem Aniołem, uniwersytet w Pizie. Gorączkowe, burzliwe lata! Profesorowie Sarti i Lampredi nauczali wówczas doktryny fizjokratów, zasad filozofii Locke'a i Condillaca, wielu przedmiotów podniecających wyobraźnię i skłaniających do coraz to nowych lektur. Jean Jacques Rousseau, Mably, Helvetius, Hume, Boccardi... Cóż zrobić z tym wszystkim młody prawniku? Twoim mistrzem jest Jean Jacques, sam powiadasz, że zasady równości i suwerenności ludu zapaliły twój umysł, sam szczerzysz się niebezpiecznym odkryciem, że każdy człowiek uczciwy powinien przyczynić się do obalenia starego porządku, który dąży do cywilizowania Europy. Cóż więc zrobić dla godności i szczęścia wszystkich ludzi we florenckiej kancelarii? Z biegiem lat odwykił od retorycznych pytań. Wtedy stawiał je sobie jeszcze, chociaż wyboru dokonał stanowczo i nieodwołalnie. Fawory wielkiego księcia Toskanii i blaski dworskiego życia odrzucił na vet tak gwałtownie, że bardzo szybko wpisano go na listę podejrzanych, przeprowadzono rewizję w jego mieszkaniu i skonfiskowano mu egzemplarze „Systemu natury” Holbacha i wielu innych książek. W trzy lata później za Apenninami wybuchła rewolucja. Młody prawnik chłonał wieści z Francji, przeczytał Deklarację Praw Człowieka i trzymając w dłoni ów tekst „potwierdzający najświętsze nadzieje” — ślubował bronić wolności. Później wszystko potoczyło się z szybkością niepojętą. Florenckie pamflety i artykuły, groźba aresztowania, ucieczka na Korsykę, redagowanie tam „Przyjaciela Wolności Włoch” i „Dziennika Patriotycznego”, pierwsze potyczki w nieustającej bitwie życia. Miał dwadzieścia osiem lat, kiedy po raz drugi poznał się nienawieści. W czasie zamieszek w Bastii wysiedlono go do Livorno i dopiero po uśmierzenu korsykańskiej reakcji powrócił mógł na wyspę. A później? Brał udział w wyprawie sardyńskiej i wyładował na wyspie Saint-Pierre, „ze szpadą w jednej ręce i Deklaracją Praw w drugiej”. Poznał Paryż świeższy i jego sprawy, zdemaskował korsykańskiego separatystę, dwulicowca Paoliego, wydał o nim zjadliwy pamflet; w tym samym roku działał w Tulonie, wspólnie z przedstawicielami konwencji, Salicettim i młodszy Robespierrem. Od roku 1792 do 1795 pełnił nieprzerwaną służbę rewolucji na Sardinii i Korsyce, na południu Francji i północy Włoch. Jako gorliwy republikanin i zwolennik Robespierre'a musiał też znaleźć się w kłótni z kazamat Thermidora i znalazł się w nich naprawdę 5 marca 1795 roku. Tam jednak, w więzieniu Plessis, w więzieniu Quatre Na-



PARYŻ, 29 LIPCA 1830. SZTURM NA MOST ARCOLE.

tions, „były wówczas — zanotuje w swojej książce — ogniska wielkiego fermentu rewolucyjnego. Spotkali się tam główni działacze sprzysiężenia... członkowie komisji ludowej z Orange, członkowie trybunałów rewolucyjnych z Arras, Cambrai, Angers, Rennes i Brest, członkowie komitetów rewolucyjnych Paryża, Nantes, Nevers i wielu innych demokratów ze wszystkich departamentów...”

W Plessis Buonarroti uściłnął po raz pierwszy dłonie Babeufa, 18 października razem opuścili mury więzienia i aż do procesu w Vendôme nie rozstali się nigdy na dłużej.

Mieli oczywiście i swoje sprawy oddzielne. Babeuf wznowił „Trybuna Ludu”, odrzucił kuszące propozycje Fouchego, specjalizującego się wówczas w korumpowaniu prasy, miał być raz jeszcze uwieziony, ale uniknął aresztowania dzięki własnej przynależności umysłu i pomocy paryskich tragicznych. Do swego mieszkania przy Faubourg Honore nie mógł już jednak powrócić, działał nielegalnie.

Buonarroti znowu miał swoje sprawy włoskie. Obywatelstwo francuskie otrzymał w roku 1793, ale nie zapomniał o kraju ojczystym, utrzymywał żywe kontakty z włoskimi rewolucjonistami, w okresie kampanii Napoleona projektował utworzenie rządu rewolucyjnego w Turynie. Oczekiwał się co do tego z pełnomocnikiem Dyrektoriatu przy armii francuskiej w Italii, Salicettim, przedkładał memoriał ministrowi Delacroix, miano go nawet wysłać za Apenniny, ale zamysł ten nigdy nie doszedł do skutku. Wytęczał na to i pełna obaw postawa Dyrektoriatu, i niechęć Napoleona wobec zamierzeń toskańskiego jakobina. Było to szczerze już zetknięcie się Buonarroti'ego z Bonapartem. Pierwsze miało miejsce na Korsyce, gdzie Józef Bonaparte współpracował w redagowaniu „Patriotycznego Dziennika”, a cała rodzina Bonapartych korzystała z materialnej pomocy Buonarrotiego.

Fałszywy republikanin — myślał wówczas o Napoleonie — ambitny oficer, którego dążenie do kariery zapewne może do każdego obozu, do każdego...

W Tulonie ambitny oficer pragnął zbliżyć się do Buonarroti'ego. Pierwsze wrażenie potwierdziło się wtedy i uniemożliwiło porozumienie.

Teraz Napoleon wykonywał umowę zleconą Dyrektoriatu, dyskretnie zapalał włoskiego ruchu rewolucyjnego i plany Toskańczyka. Nieco później Bonaparte dowodził w wojnie pod którego osłoną zamykano Klub Panteonu, ostatnią legalną redutę francuskich obrońców wolności, klub Babeufa i Buonarroti'ego, socjalnej republiki i jakobińskiej konstytucji.

Wtedy to, „w pierwszych dniach germainu, Babeuf, Antonelle, Silvain Marechal i Filip le Rexellet (Felix Lepelletier) utworzyli tajny dyrektoriat... Eriddy (Didier)... udonili ich do dokooptowania Darthea i Buonarroti'ego którzy ze swej strony uzyskali dopuszczenie Bedona (Debona)... W ten sposób 10 germainu roku IV powstał w Paryżu tajny dyrektoriat ocalenia publicznego, ustanowiony dla przywrócenia ludowi możliwości wykonywania swych praw”. Zbierał się on „w mieszkaniu zajmowanym przez Crexela (krawiec Clerex), u którego wówczas Babeuf się schronił... Łączyła ich doskonała jedynomyślność i wszyscy uważali, że równość pracy i korzyści jest jedynym celem godnym prawdziwego obywatela i w tym tylko widzieli słuszny motyw powstania”.

Ostatecznym ich zamiarem był „bezsronny podział dóbr i oświaty”, środkami akcji — „uświadamianie zbłąkanych, zachęcanie starych, naprowadzanie mas do rozważania nad rzeczywistymi przyczynami nieszczęść, nakreślenie odwrotnym apostołom demokracji jednolitego planu działania i ofiarowanie wszystkim jednego ośrodka dyspozycyjnego”. Członkowie Sprzysiężenia działali w Paryżu i na prowincji, zwolniali zebrania ludowe, docierali do wojska i do policji, mieli dwunastu agentów rewolucyjnych, wśród których Bodson i Moroy — z dzielnicą jedenastą i dwunastą — dokazywali cudów zręczności.

A jednak — ile razy myślał o tym Buonarroti w latach późniejszych! — pokładali zbyt wiele zaufania w samej grupie spiskowej, nie byli stronictwem ludu, choć wyrażali jego tęsknoty i żądania, rebelia leżi policyjnej zastała ich nie przygotowanych i została zaprzeczona. Zresztą i zdrada Grisela uwiódła niedostatecznie przemyslenie tej sprawy. Kiedy kapitan-prowokator skierował policjantów do mieszkanka krawca Tissot, gdzie Babeuf i Buonarroti „spędzili noc z 9 na 10 maja 1796 roku na rozmowach oraz przygotowaniu powstania i reform”, kiedy jednocześnie Darthe, Germain, Didier i Drouet aresztowani zostali u Dufoura — wtedy „lud paryski, któremu mówiono, że aresztowano złodziei, był biernym widzem uwiecznienia sprzysiężonych, których kądajdy w pewien czas potem bezskutecznie starał się zerwać”.

Były to ostatnie miesiące życia Grakchusa. Zlochów Abaye i wież Temple zawleczono ich do Vendôme. Żony, córki i siostry towarzyszyły im pieszo, a później obecne były na wszystkich posiedzeniach trybunału.

26 maja 1797 zapadł wyrok śmierci na Babeufa i Darthe'go. Buonarroti nie zapomniał do końca życia bliskiego doświadczenia sztyletów, którymi usiłowali wówczas pozbawić się życia. Sztylety złamały się. „Spędzili oni straszną noc wśród okrutnych cierpień sprawianych im przez rany... w ranie Babeufa w pobliżu serca pozostał złamany sztylet”. Stracono ich nazajutrz. Grakchus napisał przed egzekucją ów wstrząsający list do żony, który znajduje się w księdze Buonarroti'ego.

Po czterdziestu latach zamknęło się wiele z tych spraw, stary człowiek przypomina je sobie bez wysiłku, gdyż były to wydarzenia świata najbliższego i najbardziej własnego. Pani Babeuf żyje jeszcze, obecna była przy śmierci swej towarzyszk niedoli z Vendôme, ścisłała drżące ręce obywatela Raymond, odchodziła jeszcze bardziej zgarbiona, ze zgasyłymi oczami. Żyje również najstarszy syn Babeufa. Wychował go Lepelletier, teraz jest właścicielem księgarni w Paryżu, co kilka dni przychodzi do Buonarroti'ego z synowską emal

CYWIL Z NESEBER

Z B U Ł G A R S K I C H S P O T K A Ñ

MIROSLAW AZEMBSKI

PEWIEN historyk sztuki bardzo mnie od tego wyjazdu odwoził; uzasadniał, że w Neseber dziennikarz nie ma nic do roboty.

— Ja też tam nie byłem — dorzucał rozbrajająco — ale znam tę miejscowość z dobrego przewodnika, co czasem daje więcej niż osobista wizyta. Cóż to jest takiego ten Neseber? Wysepka maleńka z dwoma tysiącami mieszkańców i dziesięcioma starymi cerkwiami. Muzeum bizantyjskie zimą zalewane falami. Co innego my, miłośnicy starych kamieni. Moglibyśmy spędzić tam całe życie. Ale dziennikarze, którzy chcą poznać współczesną Bułgarię?...

Mimo te przestrogi — pojechałem. Okazało się, że nawet wśród szanownej, bizantyjskiej „starzyny” można jednak odnaleźć całkiem porządną fragment współczesności. Zresztą nie przesadzajmy sprawy — sami ocenicie.

Ze Stalina (dawniej Warna) ruszyliśmy świtem i po paru godzinach telepania się autokarem, chyba niewiele młodszym niż wspomniane bizantyjskie zabytki, dojeżdżamy na miejsce. Za sobą mamy pasmo gór Stara Planina, gór kopiastych, kamienistych, wyschłych w słońcu i jakby posypanych popiołem. Przed nami zatoka Morza Czarnego (w istocie intensywnie niebieskiego), a w jej centralnym punkcie — Neseber, wysepka o siedmiu hektarach powierzchni, połączona z lądem tylko wąskim pasmem ziemi, czymś w rodzaju mostu, którego długość wynosi może trzysta metrów, szerokość zaś — najwyższej piętnaście.

Kroczymy tym wątkim mostkiem z należytym szacunkiem: kiedyś przecież na tej samej drodze ludzie wchodzący do miasta żegnali się z nadzieją. Neseber, osada założona przez Greków w szóstym wieku naszej ery, konkretnym wtedy służyła celom — zsyłano tu na dożywotnią pokutę ludzi „niepewnych”, wicherzycieli porządku państwowego. Nie znamy ich nazwisk, domyślały się tylko, że mieli coś wspólnego z postępem. Tak czy inaczej osada nazywała się Messembria, czyli Wyspa Morskich Wiatrów, i nie musiała być najweselszym miejscem na ziemi.

Dzisiaj jest to spokojne miasteczko rybackie, naszpikowane cerkwiemi z VIII, IX i X wieku, raj prawdziwy dla naszych historyków sztuki, którzy jak myśliwi za zwierzyną rozbiegają się wąskimi uliczkami, obmacują zmurszałe ściany, badają tajemnice fresków, podziwiają wyblakłe mozaikowe Madonny i świętych, staczających heroiczne boje z szatanem.

Dziennikarze (ci znowu w pogoni za współczesnością) snują się po miasteczku umęczeni upałem. Neseber jest kamienny, przynębiająco kamienny — z kamienia są domy, wyboiste nawierzchnie ulic, w kamieniu wykute

schody, kamienne ławki na rynku. Siadamy znużeni do ostatecznych granic — i co dalej? Czyżby cytowany powyżej historyk sztuki miał rację? W gorące południe mieszkańcy Neseber zamknęli się w swoich cieniowych domach. Czy nie dowiemy się o tym miasteczku niczego ponad to, że posiada dziesięć zabytkowych cerkwi, a kiedyś posiadało pięćdziesiąt?

Przychodzi nam z pomocą przypadek. Przypadek ma mundur kapitana marynarki wojennej, jest starannie ogoiony, korpulentny i obdarzony umiejętnością opowiadania. Kapitan III rangi Jeffim Stojanow pochodzi właśnie stąd, z Neseber, i chce również odpocząć na kamiennej ławeczce, zanim nadejdzie autobus do Burgas. Skupiamy się jak najbliżej niego, aby nic nie uronić z owej historii, opowiedzianej płynnie po rosyjsku...

W drodze do Neseber zauważyliście na pewno kilometrowy rząd furmanek zaprzężonych w osły? Na furmankach skrzynie winogron, obok chłopci w kierpcach i samodziślowych portkach — przybyli na punkt skupu z niezbyt odległej spółdzielni produkcyjnej im. Nikoły Triandafilowa. Któż to taki — Nikoła Triandafilow? Kiedy żył? Może w X wieku? No, nie jest tak źle...

...W roku 1942, w mieście Sliwem, przed okręgowym sądem wojskowym stanęło dwu żołnierzy oskarżonych o zdradę stanu. Sędzia wyczytał nazwiska: Nikoła Triandafilow, szeregowy, lat 20, Jeffim Stojanow, szeregowy, lat 21, obaj urodzeni w Neseber. Oskarżenia mają na sobie szynele wojskowe bez dystynkcji i resztki słomy w krótko ostrzyżonych włosach. Prokurator w imieniu cara Borysa elokwentnie oskarża obu wymienionych o to, że:

1) publicznie agitowali przeciwko wciągnięciu Bułgarii do wojny po stronie hitlerowskich Niemiec, popularyzując hasło „ani jeden żołnierz bułgarski na front wschodni”;

2) krytykowali carat, równocześnie wyrażając się z uznaniem o ustroju Związku Radzieckiego i zalecając wprowadzenie podobnego ustroju w Bułgarii;

3) jako członkowie partii komunistycznej utrzymywali kontakt z partyzantką, występującą zbrojnie przeciwko prawowitej władzy carskiej;

Rozprawa była krótka. Oskarżenia nie wypowiedzieli ani słowa: nie było po co. Na sali sądowej siedziało jedynie kilku wyższych wojskowych — znanych faszystów. Kogo przekonywać, przed kim protestować? Żeby tu był chociaż jeden robotnik, jeden chłop. Śmiertelnie znużonym głosem sędzia odczytał wyrok: „Triandafilow — 15 lat więzienia, Stojanow — dożywotnie więzienie. Eskortą odstawia skazanych do więzienia w Burgas, proszę wyprowadzić!”



Neseber — widok na Nową Metropolię, cerkiew z XII w. Miasteczko to zwało się niegdyś Messembria, czyli

Okarżeni wyrok przyjęli spokojnie. Pod Stalingradem rozpoczęła się właśnie rozstrzygająca bitwa, która może przynieść tylko jeden wynik: zwycięstwo nad faszystem...

Jeffim Stojanow, zajęty pucowaniem rondli, czyszczeniem kocy i nade wszystko robotą, o której będzie mowa poniżej, nie wglębiał się w proces „wyrastania bohatera”. Proces ten jednak się rozpoczął tu właśnie, we wszawym więzieniu w Burgas.

Człowiek uczciwy, komunista, nie przestaje walczyć nawet w najcięższych warunkach — taką zasadę wyznawał w pełni młodziutki więzień nazwiskiem Triandafilow, a jak się wydaje (bo trzeba wziąć pod uwagę skromność narratora) także i jego kolega Stojanow. W kazamatach bułgarskiej katowni powstała jeszcze jedna organizacja ruchu oporu: spotkania i narady odbywano na spacerze, w magazynie, w kuchni, mimochodem w korytarzu, w przelocie i pośpiechu, z rąk do rąk wędrowały grypsy, a nocą mury przekazywały wystukiwane obcasem „depesze”. Na czele organizacji stał Nikoła.

— Niespokojne duchy, po co oni to wszystko robią? — pytali więźniowie „odcinający się rozsądnie od wszelkiej polityki”. Nie zrozumiesz komunistów: co oni tu mogą zdziałać? Siedzą w kryminale i koniec — jedzą taką samą śmierdzącą zupę jak wszyscy, tak samo jak wszyscy stają do apelu. Jeśli zechce car, to pójdą na wolność, jeśli nie, to i konspiracja nic nie pomoże. Strata czasu.

Nikoła Triandafilow wkrótce udowodnił, że działanie takie ma głębszy sens. Organizacja nawiązała łączność ze światem i codziennie informowała o najświeższych wypadkach. Oto wielkimi krokami zbliża się wyzwolenie. Na wschodzie Hitler panicznie ucieka. Łyskow (może ktoś pamięta sprzed wojny niepozornego nauczyciela z Neseber?) ze swoimi chłopakami wyszedł z gór i atakuje faszystów. Wsie dają mu pomoc, car kazał spacyfikować Kableszkowo, ale wozy z serem, chlebem i winem dalej wędrują do lasu...

Nie było już później takiego, który by nie zapytał: — No Nikoła, jak tam w górach — biją żandarmów? Długo jeszcze naszej odsiadki?

Nikoła roznosił grochówkę i składał sprawozdania. Rozstrzygnięcie się zbliża, sprawy stają ostro — jak mówił Lenin — „kto kogo”. Łyskow rozbił parę batalionów policji. Potem wpadł w okrazenie, partyzantów było stu trzydziestu, faszystów chybą dwa tysiące. Ciężko ranny przekazał swojej żonie karabin i 70.000 lewów (kasa oddziału) i dopiero potem spokojnie zmarł. Nie zamartwiając się, Łyskow nie żyje, ale żyje organizacja „Naroden Jumruk” — Pięść Ludu, a ta nazwa coś mówi... Dzień, o którym myślicie, jest już bliski.

Tego właśnie dnia oczekiwał Nikoła z niecierpliwością i... niepokojem. Wiedział, czego się spodziewać po żandarmach. I kiedy ów dzień nadszedł, Nikoła wykaż, do czego była zdolna organizacja. Pamiętnego ranka mieszkańcy Burgas nadstawiali uszu w dwie strony: gdzieś za horyzontem dudniły radzieckie armaty jakby ktoś zboże młócił na olbrzymim klepisku, a od strony miejscowego więzienia dolatywała wściekła kanonada karabinów. Cóż się tam dzieje? Mordują bezbronných więźniów! Bułgaro — biadali ludzie — czego ty oczekiwałaś! Czy ci z carskimi bączkami na czapkach, to także Bułgarzy? Czy nie dość, że w ostatnich latach rozstrzelali 1600 patriotów, że 10.000 „przestępców politycznych” gnieje w obozach koncentracyjnych?

Ale w więzieniu Burgas nie rozstrzeliwano bezbronných. Nikoła i jego towarzysze do tego nie dopuścili. Skoro zjawili się faszyci, aby przed ucieczką dokonać krwawego dzieła, zastali bramy więzienne zabarykado-

Ruiny Starej Metropolii (X wiek). Na wysepce Neseber liczącej ledwie 7 ha powierzchni Grecy pobudowali we wczesnym średniowieczu ponad 50 świątyń. Dziś teren ten jest prawdziwym rajem dla historyków sztuki.





Wyspa Morskich Wiatrów, i nie było wesołym miejscem; zsyłano tu „wichrzycieli porządku państwowego“.

wane, a okna rozbrzmiały wystrzałami. W jaki sposób Nikola zdobył broń dla swoich ludzi? Któż to wie... W każdym razie potrafił, miał wielu przyjaciół... Dozorcy przeszli na stronę więźniów, miejsce kaźni zamieniło się w fortecę. Nazajutrz, 7 września 1944, faszystzi musieli odstąpić, a w otwartej bramie ukazał się Nikola Triandafilow z karabinem w ręku.

I jeszcze jednej zasadzie hołdował Nikola — nie tracić czasu, nie odpoczywać, jeżeli rzecz nie jest zakończona. 8 września rankiem, na czele oddziału złożonego z uzbrojonych więźniów, zbliża się do rodzinnego Neseber. Dzień jest wyjątkowo pogodny, malownicze domki miasteczka wygrzewają się w słońcu. Nikola wstępuje na most, jego więziennych chodaków wystukują pośpieszny rytm na wyboistych kamieniach. Czy istnieją przecucia? Nikola idzie ku własnej śmierci. Ale gdyby mu nawet ktoś przepowiedział wypadki, jakie mają nastąpić — nie zawróciłby z tej drogi. Trzeba zrozumieć: po tylu latach wyczekiwania Nikola idzie powitać wyzwolenie w swoim Neseber. A przede wszystkim musi podjąć nowe zadania. Wszakże dwudziestu byłych więźniów, wśród których jest i wierny przyjaciel Stojanow, to od dzisiaj — na mocy partyjnego rozkazu — dwudziestu ludowych milicjantów, odpowiedzialnych za porządek w oswobodzonym mieście. Są pierwszymi przedstawicielami ludowej władzy w Neseber, a Nikola jest ich politycznym oficerem.

Oto kończy się most, wkraczają w pierwszą uliczkę. Cisza i pustka, ani jednego człowieka, tylko zablakany osioł ryczy wydając odgłosy mechanicznej pily. Dopiero

Selim Ibrahim, bułgarski Turek, uczęszcza do tej samej szkoły, którą przed laty ukończył Nikola Triandafilow, bohater walk o wyzwolenie Bułgarii. O ostatnich dniach życia Nikoły opowiadamy w powyższym reportażu.



na rynku wybiega z za węgla uzbrojony człowiek z okrzykiem „Postój!“. Żołnierz radziecki rozpoznaje jednak idących: „To wy! Tak i dobrze, bo my musimy dać im broń“. Po czym spokojnie skręca papierosa. W pół godziny później oddział radziecki, który wczoraj zdobył wyspę Neseber, rusza dalej do walki. Władzę w opustoszałym i odciętym od świata mieście obejmuje 22-letni komisarz polityczny Nikola Triandafilow. Kwaterę wyznacza w dawnym budynku zarządu miejskiego.

Noc minęła spokojnie, dopiero dzień następny przynosi przykrą niespodziankę: faszysty są w mieście. Nie przeszli przez strzeżony most, ale po prostu powylazili gdzieś z kryjówek, z piwnic, nie wiadomo skąd. Jest ich co najmniej kilkuset, dowodzi nimi pułkownik Stojczew, sztywny i wymuskany, nawet w bojowych warunkach. Ludowych milicjantów będzie najwyżej trzydziestu, to widać na oko, ale pułkownik na wszelki wypadek ustawia swoich wiarusów w tyraliere, a sam z białą flagą w ręku, dostojnie i dumnie, niby bohater złego filmu, podchodzi pod drzwi zarządu miejskiego. Naprzeciw występuje Triandafilow, również bez broni. Rozmowa jest krótka. Pułkownik żąda, aby milicjanci złożyli karabiny i oddali się do dyspozycji „prawowitej carskiej władzy“. Triandafilow odpowiada, że właśnie dziś, 9 września 1944 roku, nastąpił na szczęście ostateczny koniec tej władzy i rozpoczął się w Bułgarii okres nowych, po raz pierwszy sprawiedliwych rządów. Po czym każe barykadować okna i drzwi magistratu.

Przez cały dzień trwa strzelanina nie przynosząc zwycięstwa żadnej ze stron. Ludzie pułkownika Stojczewa skrupulatnie wypełniają rozkazy, ale wyraźnie stracili ducha, wydaje się, że tylko wężą, jakby tu zwać przy pierwszej okazji. Nie wierzą już, że z łaski Hitlera będzie Bułgaria po wieczne czasy „stróżem nowego porządku na Bałkanach“...

Zapada wieczór, cichną strzały. Zmęczenie opada obłożonych, czas pomyśleć o jedzeniu. I oto naraz od strony mostu ciemność przecinają smugi reflektorów. Samochód wojskowy warczy beznadziejnie, zabrnął w ślepa uliczkę. Wśród nocy słychać rosyjskie przekleństwa. Nikola zrywa się i chwytając karabin. Samochód radziecki, trzeba wskazać mu drogę! Nie ma dyskusji: przedsięwzięcie zbyt ryzykowne, żeby mógł kogoś wyznaczyć, pójdzie sam!

I ledwie ktoś zdążył otworzyć usta, Nikola kroczy już w kierunku samochodowych reflektorów, posuwa się szybko, zna tutaj każdy kamień. Nagle błysk latarki w oczy. W kręgu światła widać głowę i lufę pistoletu. Głowa, ozdobiona kaszkietem, a kaszkiet ozdobiony carskim bączkiem. Głowa chwieje się rytmicznie, kołysze się także i lśniąca lufa, balansuje cały człowiek.

— Stój — ty co za jeden?

— Jestem ludowym milicjantem.

— Dobrze, dobrze, ale dlaczego nosisz broń, kto ci pozwolił nosić broń...? Cywil jesteś, zwyczajny cywil! Na to Nikola powiedział coś, czego towarzysze czuwający w magistracie już nie dosłyszeli. Do diabła, po co wdaje się w rozmowy z tym pijanicą!

Nastąpił błysk i wystrzał, nawet niegłośny. Stojanow przybył za późno — Nikola już nie żył. Zginął 9 września, w dniu wyzwolenia Bułgarii.

Tak to czasem bywa w życiu — zakończył Stojanow — człowiek dzielny walczy i zwycięża, a ginie jakoś niespodziewanie i niepotrzebnie... Pierwszą spółdzielnię w Neseber nazwaliśmy jego imieniem. I co to za spółdzielnia! Czy wiecie, że...

Tutaj przerwał, bo właśnie nadjechał autobus. Korpułentny kapitan pomachał nam ręką na pożegnanie i skoczył do środka.

— No, no, kto by pomyślał — powiedział historyk sztuki — taki Neseber... A ja sądziłem, że tu zasługuje na uwagę tylko tamto anonimowe malarstwo...

ADOLF RUDNICKI

Niebieskie kartki

Z MOJEGO STOŁU

I.

BARDZO bym się ucieszył, gdyby ktoś nieuprzedzonym okiem spojrzał dzisiaj na „Pałeczkę“ i powiedział mi, co o niej myśli. Nie zamierzam jej bronić, przeciwnie, zwierzenie, które za chwilę uczynię, jeszcze bardziej wzmocni jej przeciwników. Mam zamiar opowiedzieć, skąd się bierze pewna rzucająca się w oczy skaza artystyczna „Pałeczki“.

Zacząłem ją pisać jako sztukę teatralną. Wkrótce jednak zrozumiałem, że ze swoim gadulstwem w teatrze nie znajdę daleko i wróciłem do starej formy, do opowiadania. Niestety, ten powrót nie udał mi się, element teatru, z którym się sprzęgłem, nie chciał ze mną się rozstawać, kamienie bez ustanku zasypywały mnie.

Czym jest proza? Najogólniej mówiąc, jest to rodzaj sztuki, w którym wszystko godziwe, co oddaje bogatą, wyselekcjonowaną rzeczywistość: opis i dialog, kronika i metafora. W ciągu wieków aparatura powieści rozszerzyła się do tego stopnia, że dzisiaj taka na przykład powieść-rzeka chce już objąć wszystko. W teatrze natomiast autor powinien zamknąć się w dialogu. Otóż zaniechawszy koncepcji teatralnej i wróciwszy do opowiadania, natknąłem się na dziwne zjawisko: z wyjątkiem dialogu, wszystko odwróciło się ode mnie. Obcęgami próbowałem wyrwać z siebie coś, co przypominałoby opis — na próżno. W głowie czułem — kotlet wieprzowy. Mieszkanie imienninowe nie chciało być zadymione, ciemności w ogrodzie nie chciały się kłębić, twarze nabierać wyrazistości, wiatr chłodu, grząska ziemia nie chciała ustępować pod nogami, noc zmęczyć ludzi, odcisnąć się na ich ruchach, na ich zachowaniu się, nie chciała się gradować, zszarzać, by się potem rozsiewać w boskiej pieśni świtu. Gdy tylko próbowałem opisu, odczuwałem niehumanitarne zmęczenie: zdradzała forma nie dała się przebłagać, materia się mściła.

Czy był to chwilowy odpływ widzenia? Czy przejście z jednego gatunku do drugiego wymagało więcej czasu? Czy może należało tekst schować do szuflady i czekać? A może działały opory samej koncepcji, której nie zdołałem przekształcić w wizję, tak że jeszcze w korekcie dobijałem się do niej, a ona wymykała mi się do samego końca? Nie wiem!

Próbowałem swoistej terapii. Chcąc zasilć opis, zaczepiałem ludzi, by od nich wydobyć słowo. Mammy jeden z najniezwyklejszych opisów przyrody w literaturze świata, niektórzy twierdzą, że właśnie przeroz opisu jest wielkim nieszczęściem naszej literatury; jeśli więc, rozumowałem, posiadamy jeden z najniezwyklejszych opisów przyrody, wynika stąd, że co drugi człowiek u nas widzi genialnie przyrodę. Postanowiłem tedy wesprzeć się tym talentem narodowym. Pewnego wieczoru będąc z przyjacielem na spacerze spytałem go: Jaki jest kolor nieba? — Indygo — ustyszałem w odpowiedzi. Pobiegłem do domu i wniósłem słowo indygo do tekstu. Po bezsennej nocy wyrzuciłem indygo za okno, żałując, że nie mam na tyle charakteru, by wyrzucić i resztę. Zmaltretowany, nagłony terminami — książka musiała się ukazać na czas w Klubie Odrodzenia — wydałem ją bez ostatniego dotknięcia. Miałem więc podwójne prawo do podtytułu: Każdemu to, na czym mu nie zależy.

Czytelnicy potem także.

II.

Odsunąłem od siebie „Młode cierpienia“.

Prześwitujący w książce tu i ówdzie świat Zydomów polskich druga wojna zniósł niemal całkowicie. — Jeśli — pomyślałem — racja pisarstwa tkwi w przekazywaniu materialnego kształtu zaginionych lądów, jakże mizernie przedstawia się w tej twojej książce stosunek rzeczy „ocalonych od zapomnienia“ do rzeczy pominiętych!

Gdyby ten świat nie był grzeпад tak tragiczny, gdyby żył nadal swoim zgiełkliwym, powszednim, nierozszyfrowanym życiem, moje przyczynki przemknęłyby się. Ale straszliwie przerwany, zamknięty raz na zawsze żądał całkiem innego obrazu, całkiem innych proporcji, całkiem innych ludzi. Zabity i spalony wagą swego losu sprawdzał wagę rzeczy zanotowanych — tej wagi moje drobne, szare opowieści nie wytrzymały. Zabity świat spychał mnie w dół.

Nikt nie wie, do jakiego konkursu będzie kiedyś wzwany, na jakie pytanie przyjdzie mu kiedyś odpowiadać. Wymyślnych i niespodziewanych kryteriów czasu nie może przewidzieć ani mędrzec, ani głupiec!



WŁADYSŁAW ALTMAJER, RĘBACZ PRZODOWY.

SZKICE LU

Rysował: Z D Z

Porywająca to była akcja, bitwa w pełnym niemalże znaczeniu tego słowa. Towarzyszyły jej wybuchy ładunków dynamitowych, warkot maszyn i szcęk narzędzi. Tyle tylko, że front przebiegał głęboko pod ziemią, przeciwnicy zaś nie walczyli przeciwko sobie, a przeciw... przyrodzie. O zwycięstwie decydowało jak najlepsze zorganizowanie pracy, jak najracjonalniejsze wykorzystanie techniki, bystrość postanowień w chwilach trudnych. O palmie pierwszeństwa decydowała nie nadzwyczajna ofiarność jednostki (choć i takie wypadki notowano), ale rozumne i zgodne działanie zespołu. Cel był wytknięty jasno: przedterminowe wykonanie rocznego planu wydobywania węgla.

Już w pierwszych dniach uformowała się czołówka współzawodników. Były to kopalnie: „Gottwald”, „Ziemowit”, „Concordia”, „Karol”, „Zabrze-Wschód”.

Kto zwycięży? Meldunki prasowe mogły niebawem zorientować w sytuacji: na czoło wysunęli się niezaprzeczenie „Gottwaldowcy”. Ścianowi, filarowi, chodnikowi — ilu ich tam było — członkowie wiel-

Fot.: ZBIGNIEW RAPLEWSKI



OLI WĘGLA

ILAW LACHUR

tego organizmu produkcyjnego, któremu na imię kopalnia „Gottwald”. Pracowali najlepiej, najskuteczniej, najwydatniej. 22 listopada, na 39 dni przed terminem, załoga „Gottwalda” osiągnęła upragniony cel, pierwsza w górnictwie wykonała plan roczny.

I dopiero teraz przyszła kolej na dokładne zanalizowanie wkładu poszczególnych jednostek. Padły nazwiska: rębacz Pawła Doliny, dyktora kopalni Leona Typańskiego, brygadzysty ścianowego Emila Filipa i wielu innych bohaterów tej walki. Rysownik nasz, aczkolwiek na długo przed 22 listopada zjechał do szybów kopalni „Gottwald”, nie mógł, rzecz prosta, utrwalić ołówkiem i pędzlem wszystkich sytuacji i wszystkich ludzi, którzy na to zasługiwali.

Kilka podobizn, które zamieszczamy w niniejszym numerze, niechaj odgrywa raczej rolę symboliczną. Patrząc na portrety górników pamiętajmy, że są to tylko nieliczni przedstawiciele wielkiego zespołu, który tak godnie powitał swoje doroczne święto — Dzień Górnika.



Fot. ...



EMIL FILIP — BRYGADZISTA SCIANOWY.



S. MACHERSKI, L. GARNCARZ I W. PIEKARSKI. NAJLEPSZA BRYGADA SCIANOWA W III KW. 1954

W PIERWSZĄ ROZDZIAŁ

CZAS biegnie szybko. W poniedziałek 6 grudnia mija rocznica śmierci Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Za trzy tygodnie minie rocznica śmierci Juliana Tuwima. Czas biegnie szybko, drzewa w Alei Róż rozkwitły i zrzuciły liście, pękła i znów się zbiera kra na Wiśle, znowu poranki są mroźne, takie jak ten, który przyniósł nam wiadomość o zgonie Gałczyńskiego, wiadomość tak zaskakującą, że aż niepojętą i trudną do zrozumienia.

Jak małe dzieci dziwiłiśmy się bowiem wtedy tej śmierci, trzeba nam było czasu, żeby ją sobie uprzytomnić i żeby samym sobie wytłumaczyć przyczynę własnego zdumienia. Działo się zaś tak, być może, dlatego, że już za życia Gałczyńskiego przywykliśmy uważać jego poezję za cząstkę powietrza, którym oddychamy: znajoma i dobra podróż w jemu tylko znane kraje w coraz większym stopniu stawała się częścią naszej wyobraźni, wyzwałała w nas coraz to nowe zdolności odczuwania, pozostawała wśród nas trwale, jakby ofiarowana nam rzecz, przyswojone pojęcie, zjawisko najbliższe, choć nie przestające urzekać.

Gałczyński — była to bowiem nazwa wyrażająca cały czarodziejski świat lampionów, muzyki i talerzy cyrulików, wszystkich polysków ziemi, szumu drzew i ptasich skrzydeł, złotych słowików mistrza Benvenuta i staroświeckich zegarów Rotterdamu. Nazwa ta brzmiała jak nazwa wyspy, gwiazdozbioru albo wodospadu. Oznaczała również słodycz jesiennej nocy warszawskiej, lśnienie mazurskich jezior, pogodny szczeciński poranek, południe na krakowskim rynku, rzeczywisty krajobraz „Pieśni” i „Kroniki Olsztyńskiej”, ojczyści, trafiający do ludzkich serc, nigdy zdawkowy, zawsze trzymający się pamięci niby własne i dobre przeżycie.

Wiedzieliśmy wprawdzie, że poeta mieszka w Alei Róż, niektórzy z nas odwiedzali go, pisali do niego, widywali go na warszawskich ulicach, zamyślonego, w czarnym berecie, z siwiejącymi włosami na skroniach. Myśleć o człowieku, zawsze i przede wszystkim myśleliśmy jednak — choć nie co dzień przychodziło nam zdawać sobie z tego sprawę — o jego poezji, dziele stanowiącym już własność nie tylko jego. Czuliśmy więc, że to, co rozumiemy pod słowem Gałczyński, nie podlega prawom umierania i zapewne nie myliliśmy się. Po grudniowym pogrzebie słusność tego odczucia potwierdzał każdy miesiąc, wiedzieliśmy i wiemy, że wiersze te przekażemy potomnym wraz z nową Warszawą, zdobytymi doświadczeniami, przeobrażoną ojczystą ziemią. Zwłaszcza, że poezja Gałczyńskiego wrastała w sprawę ziemi ojczyzny coraz mocniej z biegiem dni nowych, kiedy autor „Pieśni” i „Wita Stwosza” odkrył treści, dla jakich warto jest śpiewać, i sprawy powszechne, dzielące się w imię najpiękniejszych uczuć, jakie nosi w sobie człowiek. Pisał coraz żarliwiej i wspanialej, o trudzie tworzącym piękno i o pięknie służącym pracy, o przyszłości wspólnej i o wspólnej ku niej drodze, „pędzącej z nami bez wytchnienia”, ogromnej, z którą łączył swe pragnienia i los swoich wierszy:

„Myślę, że po to są wiersze,
ich ruch ku sercu człowieka,
by szerzej szła, coraz szerzej
przez kontynenty jutrzeńka

światłami po wszystkich placach,
światłami w każdej ulicy,
ta Eos rożanopaleca
z dumną *twarzą robotnicy.

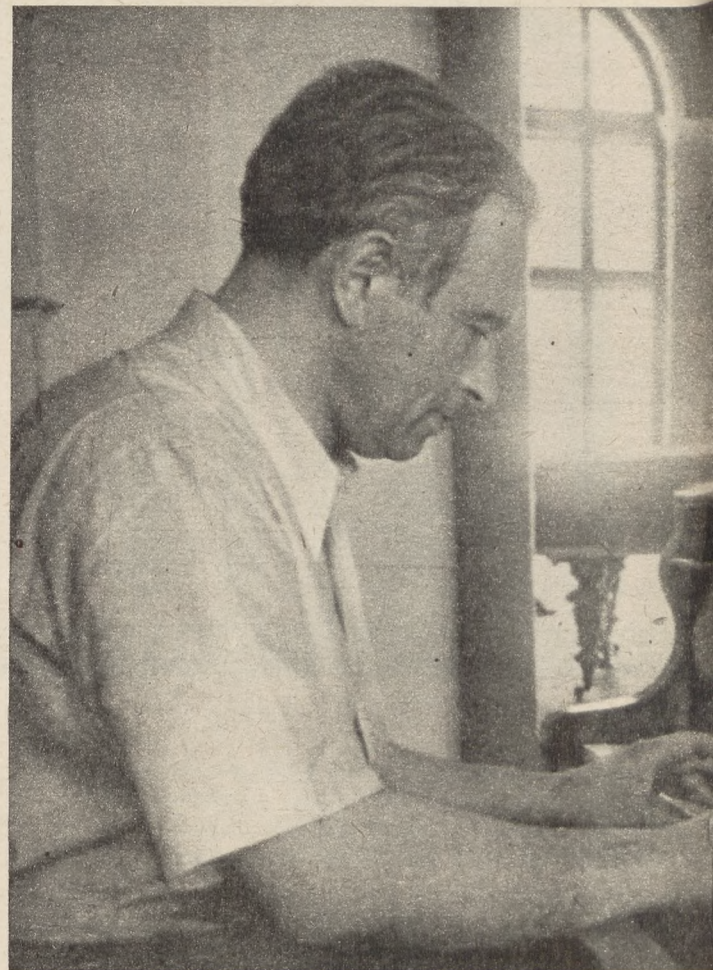
Jesteśmy w pół drogi. Droga
pędzi z nami bez wytchnienia.
Chciałbym i mój ślad na drogach
ocalić od zapomnienia”.

(a. m.)

W nadchodzącym roku ukaza się następujące wznowienia i wybory wierszy K. I. Gałczyńskiego:

„Satyra, groteska i żart liryczny” (obszerny tom w wydaniu „Czytelnika”, z ilustracjami Henryka Tomaszewskiego).

„Liryka” (w krakowskim Wydawnictwie Literackim), 2-tomowy wybór poezji (przygotowany przez „Czytelnika”).



Gałczyński

SIÓDME NIEBO

(Z wierszy dla Natalii*)

I

Zima była, gdy wysiadłem z autobusu
i rzuciłem się w twoje ramiona
i twych włosów, twych wieczornych włosów
ogarnęła mnie woń niezmierzona.

Księżyc zniżył się, błysnął nad kłamką,
potem odszedł i wplątał się w drzewo.
Pierścień nocy nad nami się zamknął
i otwarło się siódme niebo.

II

Choć godzina trochę późna,
jeszcze świecą twoje okna,
więc wołamy: — Hola, wpuść nas,
wpuść nas, pochmurnooka —

nie będziemy spać na dachu,
otwórz drzwi i wprowadź w nocy
w twe mieszkanie pełne ptaków,
instrumentów, świec płonących.

Przelecimy przez pokoje
wiatrem, walcem, tłumem szumnym,
ozłocimy loki twoje
dźwiękiem gitar siedmiostrunnych.

III

To było wieczorem w Europie,
może w Holandii, może w Belgii,
gwiazdy lśniły jak lampki na grobie
i szumił wiatr. Taki wielki.

Bo już jesień grała coraz szybciej
na akordeonie złotym
i leciały nad dachami skrzypce,
liście, klarnety i fagoty.

A gdy deszcz bulwarami popłynął,
zaczynała się chwila szalona.
Bo na przedmieściu było małe kino
(i pamiętasz? — kasjerka Simona).

I wieczorem każdym po ciemku
i wieczorem każdym jak requiem
z tulipaniem czerwonym w rękę
przez bulwary do ciebie biegłem.

A tam było jasno w małym kinie,
ej, weselo w kinie „Olimpia”!
Piękny kwiat najpiękniejszej dziewczyny —
to dla ciebie ten czerwony tulipan.

Ja dla ciebie bym truciznę wypił,
chcę być z tobą duszą i ciałem —
i wyrzucali mnie z tej „Olimpii”,
bo za głośno o miłości krzyczałem.

Ale raz, rozpaczy na przekór,
przyszła noc najwyższa, natchniona.
Coś się stało: cud w XX wieku —
poszłaś ze mną ty, nie Simona.

Wtedy dłoń twą wzięłem w dłonie moje,
w oczach naszych wieczny blask zaświecił
i przez świat obłąkany od wojen
szliśmy razem jak dwoje dzieci.



Rysował: MAREK RUDNICKI

MUZYKALNA JULIA

(Początek poematu)

Snieżek drogi zasypał,
leśniewo nasz konik dobrnął,
księżyc jak krzywa lira
płakał pod wierzba drobna.

Psy wybiegły naprzeciw
z ogonami srebrnymi
i latarkę zaświecił
stary stróż.

A już dymił
barszcz na stole. I z wazy
szła para do powały,
gdzie Merkury trzy razy
musztrował Olimp cały,

aż Jowisza przesunął,
jak mebel, na mą duszę!

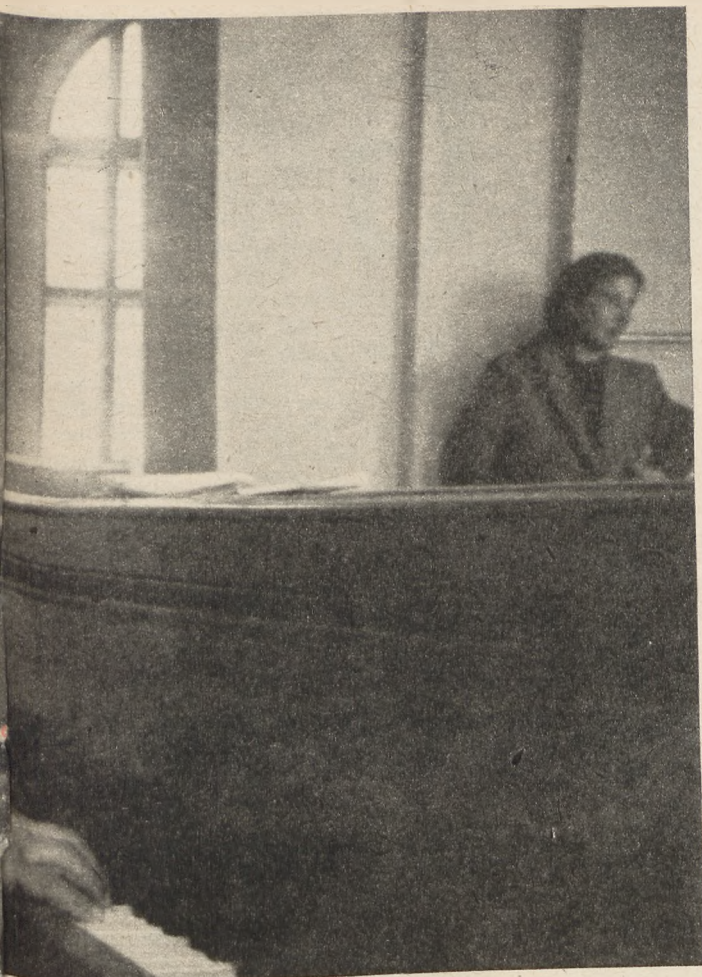
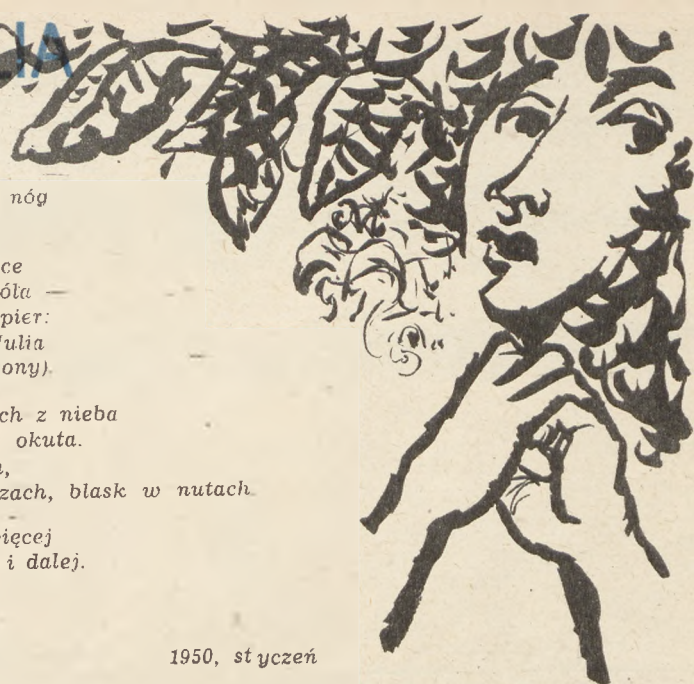
Trząst skrzydłami u nóg
i tym kaduceuszem.

A myśmy na kanapce
szort wie jakiego króla —
i nagle blask jak rapier:
to z lampą weszła Julia
(ta z Werony).

Spójrzcie: po schodach z nieba
noc schodzi w mróz okuta.
A tutaj ja, fortepian,
płomyczki w lichtarzach, blask w nutach.

A gwiazdek coraz więcej
w szparach okiennic i dalej.
Julia złożyła ręce
i zaśpiewała arie...

1950, styczeń



PSKI



IV

Ty jesteś najpiękniejsze zwierzęta,
twoje włosy o świecie są modre,
tyś wysoka jak światła na okrętach,
do oddechu twojego się modłę.

Tobiem wszystkie zbudował instrumenty,
wszystkie owoce zniósł, wszystkie kwiaty,
ciebie ścigam przez wszystkie firmamenty,
wszystkie światy, wszystkie klimaty.

V

Zadzwoniły zausznice z miedzi,
zadzwoniły jak dzwony Bizancjum,
wicher śnieżny za oknem zabredził
nad Grenobłą, nad górzystą Francją.

Na paznokciach twych, na włosów spleciach
ptaki światła gubiły swe pióra.
Nagle ptaki zgasty. Ciemnoziłota
nadciągała miłość jak chmura.

1951

*) Cykl „Siódme niebo“ i wiersz „Muzykalna Julia“ pochodzą z nie opublikowanych dotąd rękopisów, udostępnionych naszej redakcji przez żonę poety, Natalię Galezyńską.



MARIAN BEDNARSKI i JERZY FICOWSKI

CYGAŃSKIE ŻYCIE INACZEJ

Zdjęcia: W. SŁAWNY

ŻYCIE OSIADŁE JEST JEDNAK LEPSZE — TAK UWAŻA CAŁA LICZNA RODZINA JOZEFA SUCHEGO



GDZIE szukać w Polsce cygańskiej stolicy? Autorzy tego artykułu nieraz zadawali sobie to pytanie. Odwiedzając często rozrzucone po lasach cygańskie „miasteczka z płótna“, można było łatwo utwierdzić się w przekonaniu, że siedziby naszych Cyganów są zmienne, ruchome, i że termin „stolica cygańska“ można między bajki włożyć.

Okazało się jednak, że wystarczy dojechać pociągiem do Wałbrzycha, aby stolicę taką odnaleźć. Wałbrzych bowiem jest dziś centralnym punktem działalności tych Cyganów, którzy zrywają lub zerwali już z odwiecznym wędrownictwem i, korzystając z perspektyw, jakie otwierają się w Polsce przed każdym człowiekiem, bez względu na kolor skóry, stali się pełnowartościowymi, twórczymi obywatelami wspólnej im i nam ojczyzny. Cygańskie dzieci i młodzież zdobywają już wiedzę w szkołach podstawowych, pierwsze jednostki spośród nich zdążyły już dotrzeć na studia wyższe.

Na czym jednak polega odrębność i wyjątkowość osiadłych Cyganów wałbrzyskich? Czym różnią się oni na przykład od swych współplemieńców, budowniczych Nowej Huty? Chociaż i ci i tamci pracują, a dzieci swoje posyłają do szkół, różnica jest, i to istotna. Istnieje bowiem w Wałbrzychu pierwsze w Polsce Stowarzyszenie Cyganów Osiadłych; w jego zarządzie zasiadają Cyganie i — jako najlepsi przecież znawcy „cygańszczyzny“ — sami kierują akcją społeczną i uświadamiającą wśród swych współbraci. Oczywiście, z czasem tego rodzaju organizacji powstanie więcej. Dziś jednak, u początków emancypacji naszych cygańskich współobywateli, wałbrzyskie Stowarzyszenie jest organizacją jedyną. I na zawsze Wałbrzych zachowa pamięć swojej pionierskiej, najeżonej licznymi jeszcze trudnościami działalności.

Prezes Stowarzyszenia, Andrzej Siwak, jest to młody, bo zaledwie dwadzieścia siedem lat liczący Cygan z grupy podkarpackiej. Opowiada, że jako dziecko jeszcze, wędrował wraz ze swą rodziną; zasięg tych wędrówek był niewielki, zamykał się na ogół między Wieliczką, Krosnem, Okocimem i Limanową. Rodzice jego koczowali z ośmiorgiem dzieci od wsi do wsi, od lasu do lasu. Ojciec był kowalem, matka zajmowała się żebranią, bo z kowalstwa trudno było wyżyć. W czasie wojny części z nich udało się uniknąć śmierci, jaką okupant zgłodził dziesiątkom tysięcy Cyganów. Andrzej Siwak został wywieziony na roboty do Niemiec. Zaraz po wyzwoleniu kraju osiedlił się koło Szczecina. Zabrano go do Niemiec jako młodego chłopaka, powrócił starszy o parę lat trudnych doświadczeń i z zamiarem dopomożenia Cyganom na trudnej drodze, wiodącej z wędrownych taborów do osiadłego życia.

Wówczas to ogłosił znany apel do Cyganów polskich i uzyskał zatwierdzenie zaprojektowanego przez siebie Stowarzyszenia cygańskiego. Pomimo trudnych początkowo warunków owoce nie dały długo czekać na siebie. Siwak wie najlepiej, jakie argumenty mogą mieć dla Cyganów decydujące znaczenie, co jest w stanie przekonać ich i zmieknąć pancerz nieufności. To bardzo trudne zadanie, i nieraz trzeba próbować wielu środków, zanim wreszcie znajdzie się drogę właściwą.

Opory Cyganów wędrujących wobec osiedlenia się są mocne, nie od razu uda się je przełamać. Ale już dziś widać rezultaty działalności Stowarzyszenia, stale wzrasta liczba osiedlających się „na stałe“. Do Wałbrzycha przybyli nawet Cyganie ze Szwajcarii — muzycy; córka ich uczy się w państwowej szkole baletowej. Korzystając z zasiłków państwowych, Stowarzyszenie udziela pomocy najbardziej potrzebującym w postaci ubrań, bielizny, mebli itp.

W świetlicy cygańskiej odbywają się imprezy amatorskie, występy zespołu muzycznego, ale daje się tu zauważyć brak odpowiedniego kierownictwa artystycznego i niedostateczna dbałość o cygański charakter świetlicy. Na pytanie: „Dlaczego wśród rozmaitych haseł o powszechnie znanej treści nie wywieszacie u siebie choćby paru napisów po waszemu, po cygańsku?” — prezes Stowarzyszenia nie wiedział co odpowiedzieć. Po prostu nie podobnego nie przyszło mu do głowy. I tu właśnie jest sedno omyłek popełnianych przez SCO, tu tkwi źródło żywotnych jeszcze gdzieś przejawów nieufności i niechęci, okazywanych przez Cyganów Stowarzyszeniu. Komu, jeśli nie cygańskiemu zarządowi powinno być najlepiej wiadome, że tylko Cygan Cygana jest w stanie przekonać. A jakżeż można unikać własnego języka w zetknięciu ze swymi współbraćmi?

Przykład Związku Radzieckiego wskazuje, iż właśnie nakłaniając do osiadłego trybu życia, przy jednoczesnym kultywowaniu tego, co jest wartością ludowej kultury cygańskiej, można doprowadzić do osiągnięcia zamierzonego celu. Cyganie wałbrzyscy! To dobrze, że wyrzekliście się koczownictwa, to słusznie, że wstydzicie się wróżb, ale języka swego, swoich pieśni i ubioru nie powinniście się wstydzić, bo to jest wasz skarb odziedziczony po ojcach i dziadach, z którego powinniście być tylko dumni.

Zdawałoby się, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby dzieci cygańskie chodziły do szkół. Niestety... W Wałbrzychu przebywa około 40 dzieci cygańskich i wcale nie wszystkie chodzą do szkoły. Za ten stan rzeczy znowu odpowiedzialne jest Stowarzyszenie, które najwidoczniej nie okazuje dostatecznej dbałości o te sprawy.

Dziadowie i babki robotników i robotnic cygańskich z Wałbrzycha bywali dumni z powodu... udanego porwania konia ze stajni, chlubil się też swymi wróżbiarskimi zarobkami. Dziś — ich wnukowie potrafią już być dumni z wyników swej pracy, z postępów swych dzieci w nauce...

No tak, ale... „Ale nie wszyscy jeszcze Cyganie zrozumieli; gdzie szukać nowego szczęścia” — powiada jeden z wałbrzyskich Cyganów. I dodaje: „Ja ich rozumiem, sam jestem Cyganem. Wiem, że z początku nie jest łatwo. Ale my ich przekonamy”.

Wierzmy, że tak będzie.



EWIE DOLMAN BARDZO DOBRZE PRACUJE SIĘ W SPÓŁDZIELNI PRZY MONTAŻU WÓZKÓW DZIECIENNYCH

Coraz więcej Cyganów bierze czynny udział w budowie wspólnej im i nam Ojczyzny. Od lewej: Ewa Łuczak — nie tylko wydajnie pracuje w spółdzielni „Kotlarz” — ale cieszy się takim autorytetem, że wysunięto jej kandydaturę na radną Miejskiej Rady Narodowej w Wałbrzychu; jej brat — zdobył zawód, jest obecnie cenionym polerownikiem; znany zaś dobrze ogółowi Cyganów Andrzej Siwak pełni odpowiedzialną funkcję prezesa Stowarzyszenia Cyganów Osiadłych.



W Y P R A W A

NO ŚNIEG



B. Bułenko

CO SPRYTNIJSZE chłopcy z Zakopanego, z Kościelisk, z Jaszczurówki szły w góry i wracały z niczym. Pół października i pół listopada szukali, przetrząsali ustronne doliny, koliby górskie, hale ocienione smrekami i nic... Nie było nigdzie.

Aż któregoś dnia trener Zubek zszedł ze swoimi z gór i od razu rozeszło się po Zakopanem: jest śnieg w dolinie Waksmundzkiej! Zubek odkrył go zupełnie przypadkiem; śnieg leżał na szlaku, którym szedł.

Na drugi dzień, świtanie, skrzyknęli się najpierw biegacze Podhala. Poszedł na Waksmundzką Kwapien z Kościelisk, Styrzula z Nowego Targu, mały Bukowski i olbrzymi Kubin z Zakopanego, a za nimi inni. Przewodził im Kaczmarczyk, który w tym roku objął funkcję trenera czołówki biegowej.

Szli radośni, bo im ten trening bez śniegu już kościł w gardle stawał. Goń całą jesień na nogach, truchtaj po przecinkach leśnych, po hałach, perciach, lub biegaj z kijami w rękach drogą pod Reglami. Pocięszło ich tylko, że zjazdowcy i skoczkowie nie mniej cierpieli z przyczyny opóźniającej się zimy. Zjazdowcy ustawiali slalom pod Nosalem i biegali między tyczkami, lub ćwiczyli pracę rąk zbiegając z wielkich stromizn, podpierając się kijem przy każdym skręcie. A co się nagimnastykowali! Prawie tyle, co skoczkowie, którzy doszli do sprawności akrobatów. A od czasu do czasu robili wycieczki w góry, żeby nabrać wytrzymałości.

Ale najwięcej nagonili się biegacze...

W jeden dzień potrafili robić tury po 50 km; obrotić z Zakopanego do Morskiego Oka i z powrotem, to dla nich nic. Kasprowy Wierch prawie biegiem zdobywali i biegiem spuszczały się z powrotem w doliny.

Nabrali ogromnej wytrzymałości, ale stęsknili się za śniegiem.

Zakosztowali go wprawdzie we wrześniu, a potem w październiku przeżyli nawet radosny tydzień w dolinie Małej Łąki, gdzie śnieg leżał grubą warstwą. Zrobili pętlę i gonili na nartach siedem dni. Ale ciepłe powietrze napłynęło w zakopiańską dolinę i nawet wróże od pogody nie robili nadziei na rychłe opady. Biegacze powiesili więc narty na kołku i prowadzili poszukiwania. Ale choć przedpełali Tatry wzdłuż i wszerz nigdzie na ocalale płyty śnieżne natrafili nie mogli. Aż tu Zubek...

Trzymając więc lekkie nartki w rękach truchtem ciągnęli na Waksmundzką.

Na ugiętych nogach, pochyleni, jakby czający się, szli bez odpoczynku w tempie nieosiągalnym dla „ludzi dołskich” (z dolin), zahartowani na trud pokonywania wzniesień, wartcy.

Nogi ich opętała szybkość.

Pośpiech tej wspinaczki sprawił przedziwne wrażenie.

Wokół stał nieruchomy, ogromny, pachnący jesienną wilgocią, mroczny jak noc las. Tylko w dole jaśniała droga do Morskiego Oka i błyskał potok, toczący wody po popielatych głazach. A oni posuwali się tym mrokiem między drzewami jak widma.

Wreszcie zabielało przed nimi. Śnieg leżał wielką płachcią na spadzistej polanie, otoczonej ścianą smreków. Bukowski pędem puścił się ku śniegowi.

Jak się tu utrzymał? W październiku i przez pół listopada tylko szczyty Tatr były przyprószone, ale w pasie regli i hał nie znalazłeś szczypty śniegu. Więc skąd na Waksmundzkiej? Może podglebie skalne jest

tu zimniejsze, a może konfiguracja terenu i lasu wytworzyła lej powietrzny, który wciąga więcej śniegu? Płatki kołują nad takim lejem i nawet przy małych opadach układają się w głębsze niż gdzie indziej zaspy.

Dopadli śniegu jak ryba wody. I od razu, w zeknięciu z nim, przeobrazili się w inne istoty. Ale bo też rządziły nimi teraz odmienne prawa fizyczne niż te, które określiły ludzki chód. Poruszali się w innym rytmie, ruchy ich nabrały niezwyklej dla człowieka płynności, kadencja kroków stała się rozciągnięta, posuwista.

Na pozór ten narciarski sposób poruszania się narzuca się sam przez się: silne odbicie nogi zakrocznej nadaje nartom poślizg. Ale ile pracy, jak wiele talentu trzeba, aby uchwycić odpowiedni moment odbicia, wyczuć kąt załamania kolan, pochylenia tułowia. A kunszt smarowania nart?

Zastanówcie się chwilę! Narta biegacza musi być jednocześnie „śliska”, by gnać po pochyłości. „lepka”, by trzymać na stromych podejściach, „lepkko-śliska”, by pozwolić wykonać owo czarodziejskie odbicie, czyli musi przykleić się do śniegu na ułamek sekundy, w którym narciarz wykonuje odbicie, i zaraz potem stać się znów gładką i szybką w poślizgu.

Znakomitość w kunszcie smarowania i biegania potrafią wykonać odbicie, a więc i poślizg, nawet pod górę, a na równinie krok ich wynosi ponad 10 m długości. Takimi krokami poruszali się bajeczni olbrzymi.

Takimi krokami starają się przemierzać Waksmundzką polanę i nasi zakopiańscy. Kroku z odbicia można się nauczyć tylko na śniegu, nie pomogą nawet najbardziej wymyślne „suche zaprawy”, ale porowaty śnieżek na Waksmundzkiej ginie w oczach pod dotknięciem nart. Ślady podchodzą wodą, ukazując się trawa.

Do jutra nie wytrzyma...

Jeżdżą więc i jeżdżą, żeby było na zapas.

Szarżało już, kiedy ruszyli z powrotem. Zbiegali krętymi ścieżkami leśnymi, znikali w długich wykrętach, by znów się wynurzyć na zboczu. W rękach trzymali mokre, ociekające śniegiem bezużyteczne narty. Ale na wysokości Łysej Polany znów im się przydały. Nadbiegli nad długie odkryte zbocze. Spojrzeli w dół: psiarka!

Założyli co ducha narty i zjechali w dół po twardej śliskiej „psiej trawce”, która od biedy może zastąpić narciarsowi śnieg. Był to kilometrowy szus.

— Jak nie znajdziemy jutro innego płatu, to przyjdziemy na psiarke — powiedział Kaczmarczyk, ale w tej chwili na rozgrzany policzek spłynął mu wilgotny kruch kryształek.

Podniósł twarz ku niebu.

Padał śnieg, zrazu rzadko, ale potem coraz gęściej, a wreszcie sypnęły się płatki jak małe kłębki waty, lepkie, nabrzmałe. W kilka godzin całe Podhale pokryło się kilkunastocentymetrową białą powłoką.

Tak się skończyła w tym roku ostatnia (oby!) wyprawa polskich narciarzy po śnieg.

JERZY SUSZKO

Dwumetrowy Kubin i półorametrowy Bukowski z Zakopanego ćwiczą na trawie bieg z kijami i niecierpliwie oczekują na pierwsze śnieżne opady. Czy długo?

Fot. Z. Małek



Czołówka biegaczy (od lewej): Bukowski, Opoka, Kwapien, Kowalski i Styrzula deliberują nad wątlnością śniegu, który znaleźli niedawno na Waksmundzkiej.

Fot. A. Rokicki



FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

POWIEŚĆ O GÓRNICZEJ MŁODZIEŻY

Autor „Pokładu Joanny” przyjechał do Wałbrzycha, by zebrać materiały do nowej powieści, tym razem o górnikach Dolnośląskiego Zagłębia.

— Pragnę z bliska przyrzeć się miejscowym problemom — oświadczył pisarz — poznać ludzi górniczego Wałbrzycha, ich warunki życia i pracy.

Bohaterem nowej powieści będzie wałbrzyska młodzież górnicza. Toteż Gustaw Morcinek długo i serdecznie rozmawiał z górnikami, zjeżdżał z nimi pod ziemię, zwłaszcza na trudniejsze odcinki, by odświeżyć dawne wspomnienia, kiedy to sam pracował w kopalni.

Pisarz spodziewa się, że jego nowa powieść o dolnośląskich „kumplach” dotrze do rąk czytelników w przyszłym roku.

A. Koczyński, Szczawno-Zdrój



Gustaw Morcinek wśród górników

NIEGOŚCINNY HOTEL

We Wrocławiu jest duży, ładny hotel o obowiązkowej nazwie „Europejski”. Kiedy zawitaliśmy do niego po męczącej podróży, pośpiesznie załat-

wiliśmy formalności, by jak najszybciej znaleźć się w czystym, ciepłym pokoju. Widok, jaki zastaliśmy, wprowadził nas w zakłopotanie.

Pokój przedstawiał obraz nędzy i rozpaczy: łóżka nie zasłane, na podłodze pełno śmieci i niedopalków, umywalka zapchana. Przez wybitą szybę w oknie wdzierał się do pokoju zimny wiatr i zaciekał deszcz.

Nie pomogły nasze reklamacje i tłumaczenia, że jesteśmy zmęczeni, że chcielibyśmy się umyć i wypocząć. Nie pomogły błagalne prośby o szybkie uprzątnięcie pokoju, względnie zamianę na inny. Z olimpijskim spokojem odpowiadano nam: „trzeba czekać”.

Mamy wrażenie, że podróżni zmuszeni do korzystania z hotelu, mają prawo do trochę gościnniejszego przyjęcia i dlatego podajemy do wiadomości „Świata” to, co nas spotkało we Wrocławiu.

T. Czabański, Wrocław
Jol. F. Tracz

„CZERWONY KAPTUREK” DZIĘKUJE

Korespondencja pomogła. I to jeszcze jak — na całym froncie walki z biurokracją.

Ukończony remoni odsoni w całej krasie piękno Belwederu, który ostatecznie i definitywnie przeszedł na własność „Czerwonego Kapturka”. Wstydzący się widocznie sąsiedztwa dziecięcego teatryku urzędniczy Wydział Handlu Prezydium WRN wyprowadził się z budynku, pozostawiając za sobą otwarte na całą szerokość wrota głównej bramy — te same, przez które nie chcieli wpuścić olsztyńskich dzieci. Przrzeczony przez miejscowe władze samochód jest już w drodze i la-da dzień zespół wyruszy nim w objazd po województwie.

I jeszcze jedna dobra nowina. Olsztyńskim „Kapturkiem” zainteresował się wreszcie żywej Centralny Zarząd Teatrów, przyznając mu stałą miesięczną subwencję.

Za to wszystko „Czerwony Kapturek” w imieniu swoim i



swoich wielbicieli serdecznie dziękuje kolumnie fotokorespondentów „Świata” i przesyła zdjęcie „mrożącej krew w żyłach” sceny podkradania się

wilka do małych kózek. Nowa bajka „Co się w lesie raz zdarzyło” — wystawiona została już z przyznanej subwencji.

A. Liberta Olsztyn

O URBASIOWYM FOLUSZU W GÓRALSKIEJ WSI

Jest na Śląsku zakład przemysłowy, obsługiwany przez jednego człowieka, właściciela i pracownika równocześnie. Po pierwszej wojnie światowej, w 1919 roku, wybudował go Karol Urbaś w dolinie małego potoku Jatny, we wsi Brenna w Beskidzie Śląskim. Ta dziwna fabryka jest folusz — wytwórnia specjalnego gatunku sukna na spodnie i gunie góralskie.

Fabryka jest bardzo prymitywna: koło wodne porusza drewniane młoty, które uderzają w welnianą tkaninę, złożoną w tzw. stępie i zwilżaną stale gorącą wodą. Ubijana tkanina kurczy się, gęstnieje, spłina i przemienia w mocne sukno, tracąc przy tym ok. 40 proc. powierzchni, zyskując natomiast na grubości.

Karol Urbaś — jedyny obecnie producent ludowego sukna otrzymał od państwa specjalne subsydia na remont swej miniaturowej „fabryczki”.

J. Zubik, Ślalinogród



Czy nie przypomina Wam to starego obrazu holenderskiego młyna?



A oto dowód rzeczowy...

CZYSTE KONTO NOWEJ RADY GROMADZKIEJ

Na rawickiej ziemi, nieopodal Izbic mieszkał pewien dość zamożny gospodarz, ale mocno zadłużony. Znalazł on sobie w sąsiedniej wsi dziewczynę i postanowił ożenić się z nią. Ponieważ dziewczyna była zająca, jak to się mówi, dobrych obyczajów, zataił przed nią swoje długie z obawy, że go nie zechce. Jakoś tam będzie — myślał. A dziewczyna tymczasem snuła najpiękniejsze plany: kupiła radio, zaprowadziła elektryczność, wybrukowała błotnistą

podwórkę, odnowił dom i powiększył hodowlę. Dopiero po ognistym weselu wyłaził z worka. Młoda żona opuściła głowę. Zrezygnowała z pięknych planów, zakasała rękawy, aby pracując w poście zola spłacić mężowskie długi.

Smutną tę opowieść znają chłopcy z Izbic, Żylic i Łaszczyna oraz robotnicy PGR z Dąbrówki i Konarzewa. Przypomnieli sobie o niej szczególnie na zebraniu wyborczym, na którym wysuwali kandydatów do wspólnej Gromadzkiej Rady Narodowej. Izbice poparły wtedy kandydaturę komendanta straży pożarnej Stanisława Hirta i spółdzielcy zgłosili do zarządy Michała Matuszewskiego i brygadzystę polowego, Ignacego Wawrzyniaka.

Aby nowa rada gromadzka, przed którą postawiono wielkie zadania: budowę dwóch dróg bitych, zagospodarowanie 1500 ha łąk i zorganizowanie życia kulturalnego — nie rozpoczęła swego żywota łąk mieszczących się jak owo małżeństwo z ludowej opowieści, postanowiono do 30 listopada wywiązać się z obowiązków wobec państwa. Uchwalono, że na koniec nowej rady nie może ciążyć ani ki-



Jan Maćkowiak z Izbic spłaca do 30.XI. br. zaległą IV ratę podatku gruntowego.

logram zboża, żywności i ziemi, ani nawet złotówka zaległego podatku.

— Spółdzielnia produkcyjna w Izbicach odstawi więc zaniast 14 bekoniów — 20 wysokogatunkowych sztuk.

— Średniorolny chłop Jan Maćkowiak z Izbic spłaci zaległą IV ratę podatku gruntowego.

— PGR Dobrowka odwiezie, zgodnie z planem, 14 bekoniów. — Spółdzielnia produkcyjna w Łaszczynie dostawi na punkt skupu 16 bekoniów i 9 tuczników.

— PGR Konarzewe odwiezie do mleczarni 10.000 litrów mleka.



Kandydaci do GRN, Matuszewski i Wawrzyniak w rozmowie z sekretarzem PZPR zespołu PGR Konarzewe.

— Wszyscy gospodarze nowej izbickiej gromady dostarczą do zlewni 40.000 litrów mleka ponad plan.

Słowa dołrzymają. Jesiemy przekonani, że 30 listopada z nowej agencji pocztowej w Izbicach, która uruchomiono przed tygodniem gospodarze nadali radosny meldunek: nowa rada gromadzka rozpoczęła działalność z „czystym kontem”.

Błędy z ludowej opowieści o lekkomyślnym mężu i nieszczyliwej żonie w Izbicach nie powtórzą.

St. Korzeniowski, Rawicz



Kandydatka do GRN, przedrujaca nauczycielka Kazimiera Nowacka (z prawej).



Antonina Glera z Żylic — kandydatka na zastępcę radnego do PRN — wśród dzieci przedszkola.



Dwaj kandydaci na radnych: spółdzielca Ignacy Mustat i Jan Waliński.

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

NOWOŚCI FOTOGRAFICZNE NRD

Na tegorocznych Targach Lipskich, wśród wielu różnych nowości technicznych z dziedziny fotografii i optyki, wystawiony był również nowy aparat „Werra” na taśmie 35 mm, produkcyj światowej sławy zakładów Zeissa.

„Werra” wyróżnia się wśród innych tego typu aparatów swym wyjątkowo zgrabnym kształtem o opływowych liniach (poza obiektywem z obudowy aparatu nie wystają żadne części). Metalowe części kamery pokryte są matowym chromem lub zielonym lakiernym odpornym na wilgoć. Przesuw filmu i migawka centralna z szybkościami od 1 do 1/250 sek., są sprzężone. Aparat posiada gniazdko do lamp błyskowych. Obiektyw — Novonar 1:3,5 lub Tessar 1:2,8 o ogniskowej 50 mm.

Nowością techniczną aparatu „Werra” jest połączenie w jedną całość osłony obiektywu i ochrony przeciwsonecznej. Urządzenie to ma kształt stożka, zakłada się na obiektyw szerszym otworem, mniejszy krąg zakryty jest zdejmowanym kapturkiem. Po zdjęciu tego kapturka, stożek zakłada się jako odwrotną stroną na oprawę obiektywu i wówczas służy jako ochrona przeciwsłoneczna. Do wykonania zdjęcia wystarczą tylko zdjąć kapturek, pozostawiając resztę na oprawie obiektywu, który w ten sposób chroniony jest od mechanicznych uszkodzeń, uderzeń i zadrapań.

Urządzenie do przesuwu filmu posiada specjalne żerberka rozpórkowe, dzięki którym taśma filmowa jest płasko rozciągnięta zarówno wzdłuż jak i w poprzek.

Wytwórnia „Agfa” wystawiała w Lipsku nowe preparaty chemiczne: osłabiacz i wzmacniacz do negatywów: „Agfa-Denal” — wywołujący z nowym odczulaczem, pozostawiając przy jasnym świetle żółtozielonym; wywołujący przy jasnym świetle żółtozielonym; nowy „Atomal F” w opakowaniach po 200 i 600 cm sześć, nadany przez wytwórnię jako wywołujący dający szczególnie drobne ziarno.

Interesującym eksperymentem jest wypuszczenie przez fabrykę „Agfa” specjalnych kasetek zawierających zestawy wyposażenia dla fotoamatorów. Kaseta dla fotografów „małobrazkowych” zawiera: 2 ładunki filmu „Isopan F”, 2 rurki 200 cm sześć, „Atomal”, 2 porcje szybkiego utrwalacza po 200 cm sześć, menzurkę szklaną, lejek, 2 ćwierćlitrowe butelki brązowe do przechowywania wywołacza i utrwalacza, puszkę do wywołania, „Triplex” (do filmów 24 x 36 mm, 4,5 x 6 cm i 6 x 9 cm), 3 kuwety winiokopowe 9 x 12 cm, 4 rurki po 200 cm sześć, wywołacza do papierów „Neutol”, 2 ładunki utrwalacza kwaśnego, paczkę bibuły filtracyjnej, lampę ciemnicową z filtrami ciemnozielonym i żółtozielonym (bez żarówek), tabelę naświetlań, 2 uchwyty do wieszania filmów oraz komplet papierów do powiększeń.

Zawartość takiej kasety stanowi więc podstawowe wyposażenie do pracy fotoamatora, który posiada już aparat i powiększalnik. Interesujący ten eksperyment cieszyć się będzie zapewne uznaniem szerokiego rzesz fotoamatorów. Zakłady Fotochemiczne „Film Polski” powinny również wypuścić na rynek podobne komplety (ewent. sprzedaż ratała), które przyczyniłyby się w znacznej mierze do upowszechnienia fotografii amatorskiej.



W STALINOGRODZIE



W KRAKOWIE

„WISNIOWY SAD” Czechowa, grany jesienią br. równocześnie w Krakowie (Teatr Stary) i w Stalinogrodzie (Teatr im. Wyspiańskiego), to opowieść dramatyczna o dogorywającej warstwie ziemian rosyjskich.

Postacią centralną utworu rozgrywającego się na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego stulecia jest właścicielka ziemiska Lubow Raniewska. Wychowana w zbytku, beztrudnie, trwoniąca olbrzymią fortunę, mieszkająca lata całe poza krajem, chciała by zachować do końca swego pasożytniczego życia rodzinny dom, a zwłaszcza ukończony Wiśniowy Sad, z którym związane są najpiękniejsze wspomnienia z czasów jej dzieciństwa.

Widzimy ją w kraju po kilkuletnim pobycie za granicą. Przyjechała wiedząc, że nie tyle tęsknotą, ile przerażoną grozą majątkowi ruiną. Nie umie jednak tej nieuchronnej ruinie zaradzić. Kiedy trzeba coś zrobić dla uratowania starego domu, kiedy trzeba zrezygnować z jakiegoś drobiazgu, żeby nie utracić wszystkiego, nie zdoła się na nic, pozwoli, by Wiśniowy Sad został sprzedany na licytacji i zostanie już emigrantką na stałe. Raniewska nie jest jedyną postacią, na której Czechow demonstruje rozkład ziemianstwa. W jej domu ro-

dzinnym dokonuje gnuśnego żywota jej brat, Gajew, człowiek, który całe życie strawił na grze w bilard i na nie kończących się tyradach na abstrakcyjne tematy.

Czechow nie poprzestął jednak na przebogaty, niezwykle subtelnie zaobserwowanym obrazie „byłych” ludzi. W „Wiśniowym Sadzie” obok nuty pesymizmu i melancholii, zmieszanej z głęboką ironią, brzmie również nuta wiary w lepsze jutro. Wiare tę reprezentuje para młodych: córka Raniewskiej, Ania, oraz student Trofimow, korepetytor synka Raniewskiej, który zginął tragicznie w nurchach rzeki. Młodzi z „Wiśniowego Sadu” nie mają jakichś ściśle określonych poglądów czy zasad; przyglądają się temu, co się dookoła nich rozgrywa, obumieranie „Wiśniowego Sadu” każe im wierzyć głęboko i żarliwie, że przyjdzie, przyjdzie musi przemiana, która ostatecznie zmiecie z widowni melancholijnych, płaczliwych pasożytów i nierobów,

wyzwoli drzemiące w narodzie siły dobra, postępu i sprawiedliwości.

Przez wprowadzenie do sztuki młodych „Wiśniowy Sad” jest dziś dla współczesnego widza nie tylko bezapelacyjnym wyrokiem na to, co zmurszałe, kalekie, przeżarte dosytem i próżniactwem; sztuka uczy miłości i szacunku dla wielkiego pisarza, który w czasach mroku i ciemnoty, nie będąc politykiem, umiał dojrzeć załączki tej przyszłości, której jesteśmy uczestnikami.

Krakowski reżyser „Wiśniowego Sadu” Krzemiński, postarał się o jak najbardziej precyzyjne ukazanie i odmalowanie ginącego świata. Syntezą i symbolem tego środowiska jest obok Raniewskiej, którą gra Jaroszevska, jej brat, ziemianin Gajew. Patrząc na grającego tę postać Mrozevskiego ma się wrażenie, że do tego portretu, na który składa się mnóstwo szczegółów i szczegółików, nie już dodać nie można. Teatr krakowski dał „Wiśniowemu Sado-

wi” bogate ramy dekoracyjne; bal w akcie trzecim lśni dziesiątkami barw, światłami i odzieniem, co sprawia, że chwilami tekst się nieco gubi. Mniej plastycznie niż postacie świata ginącego zarysowane zostały sylwetki młodych. To, co młodzi mówią, ma charakter raczej deklaracyjny.

Reżyser „Wiśniowego Sadu” w Stalinogrodzie, Nowak, położył mniejszy nacisk na drobiazgową analizę ludzi i spraw ginącego świata. Wnętrza ziemiańskiego domu nie mają tego blasku i przepychu, w jaki wyposażono je w Krakowie, co jest chyba słuszniejsze, bo przecież rodzina Raniewskich stoi w obliczu ruiny. Reżysera pochłonęła sprawa młodych; w wykonaniu Ewy Lassek i Adama Kwiatkowskiego zarówno Ania, jak i Trofimow są wzruszająco prości, prawdziwi i bliżej sercu widowni.

JACEK FRUHLING

OBYWATEL RAYMOND

Dokończenie ze strony 9

wizytą. A dwaj młodszy synowie Babeufa, Kamil i Kajus? Buonarroti znowu przypomina sobie małego oficera z Tulonu. Ile krwi i łez wylano za sprawą tego człowieka! Na strasliwym rachunku odpowiedzialności, który obciąża jego sumienie („czy karierowicz ma sumienie, Grakchusie?”), widnieją również imiona Kajusa i Kamila, wychowanków generała Thuriot. Pierwszy zginął w roku 1814, drugi rzucił się z kolumny Vendôme, kiedy wkraczały do Paryża oddziały wojsk sprzymierzonych.

O, straszne chwile, kiedy nadchodzą wieści o śmierci i o klęsce!

O, polegli młodzieńcy, zamordowani przyjaciele, towarzysze lat męskich, towarzysze starości!

Stary Buonarroti sławi życie wasze i nigdy nie zdradzi ufności, jaką wspólnie pokładaliście w latach przyszłych. Pisze więc dalej w liście do Bronterre'a:

„Chociaż zakorzenione obyczaje i nieczne uczucia obrażają jeszcze rozsadek i zakuwają wolę w łańcuchy, nie trzeba wątpić w zbawienie ludzkości. Przekonany jestem, że pójdzie ona naprzód po drodze przyjaźni i szczęścia i że w szczęśliwym życiu korzystać będzie z dobra, które myśmy ledwie odgadywali, a które następcy nasi, mądrzejsi od swych ojców, potrafią pozyskać na własność. Dołączam listę prawdziwych nazwisk i proszę cię o zastąpienie nimi anagramów, jakich ze względu na ostrożność użyłem publikując moje dzieło. Względ ten przestał dzisiaj być istotny i byłoby słusznym zapoznanie ogółu z tymi, którym dzielił się Babeufem prace i niebezpieczeństwa”.

Znowu wracają tamte lata, kiedy w żelaznych klatkach wieszono ich jak zwierzęta ku miejscu zesłania. Falaise, Caen, Valognes, Mellerau...

A później, obywatelu Raymond?

Później, po wypach Pelee i Oleron, nastąpił nowy incydent z Bonapartem, Buonarroti otrzymał miał nie tylko pełną amnestię, ale również wysoką godność państwową. W zamian za to dawny znajomy z Korsyki i Tulonu żądał uroczystego uznania napoleońskiego reżimu, który szybkimi krokami zdążył wówczas do splendorów pierwszego cesarstwa. Buonarroti odmówił, wobec czego na rozkaz Napoleona wysłano go na Elbę. Nie dojechał tam jednak, zatrzymał się na trzy lata w Sospel, a później, od roku 1806, przebywał w Genewie. Prefektury policji wymieniały wtedy między sobą dość dokładne opisy nauczyciela muzyki, który „daje lekcje gry na fortepianie, zarabia około sześćdziesięciu talarów miesięcznie” i według wszelkiego prawdopodobieństwa jest szarą eminencją francuskich i włoskich środowisk rewolucyjnych.

„Uczęszcza tylko do osób, których obyczaje i poglądy odpowiadają jego własnym. Mieszka w jednym domu ze swym bliskim przyjacielem Maratem” (był to brat Jean Paul Marata — słynnego działacza Rewolucji).

„Najbardziej szalony z całej gromady buntowników-jakobinów”.

„Jest obecnie taki sam jak wówczas, gdy spiskował z Babeufem”.

Po odkryciu konspiracji Maleta, Buonarroti otrzymuje z Paryża nakaz przeniesienia się do Grenoble.

— Czy prawdą jest, że Buonarroti uspokoił się? — pyta minister Savary.

— Nie zmienił się ani trochę — odpowiada prefekt Grenoble. — Żeby Buonarroti stał się innym, trzeba by zmieścić mu głowę.

Niezmienny powraca też do Genewy po dwóch latach, gdyż Waterloo oznacza między innymi unieważnienie wielu nakazów wydanych przez napoleońską administrację. We Francji Ludwika XVIII i Karola X pokazać się nie może. trzyma jednak rękę na pulsie wydarzeń, patrzy wnikliwie szarymi zmrużonymi oczami, wiele rzeczy rozumie, a jeszcze więcej przeczuwa.

Triumfującym Świętemu Przymierzu przeciwstawia więc zapal podobnych sobie bojowników, którzy walczą o wyzwolenie swoich oczyszczonych okolic. W jego doświadczonej ręce zbiega się wiele nici: prowadzi one nad Ren i nad Wisłę, nad Tybr i Sekwanę; policjanci kilku krajów Europy wiedzą co prawda, kto mieszka przy genewskiej ulicy Basse pod numerem 43, ale ich wiadomości o działaniach Buonarrotiego oparte są jedynie na nie sprawdzonych doniesieniach i domysłach kilku gorliwców.

Rabka tajemnicy uchyliły „Wspomnienia genewskie” Aleksandra Andryane'a. Jako student poznał on Buonarrotiego w roku 1820 i wprowadzony został przezeń do nielegalnej organizacji, której członkowie ślubowali „miłość wolności, nienawiść tyranom, solidarność z braćmi swoimi”. Była to genewska sekcja towarzysów karbonariuszy, które ogarnęły wówczas Francję, Włochy i Niemcy, utrzymywały związki z rewolucjonistami Polski i Rosji, wypowiadały walkę na śmierć i życie zwycięskim despotom i ustalonej przez kongres wiedeński mapie Europy.

Jeden z przyjaciół wspominał później, że do Buonarrotiego przybywali po radę i pomoc działacze ze wszystkich stron kontynentu.

Inni stwierdzali, że Buonarroti był inicjatorem reorganizacji towarzysów węglarskich i założenia „went”.

Jeszcze inni, a między nimi Mazzini, uważali Buonarrotiego za kierownika „wentu centralnej”.

„Uważam go za podziemną potęgę, której tajemnicze ramiona rozciągają się w mrok i obejmują część Europy” — notował ze swej strony Andryane, który w styczniu 1823 aresztowany został w drodze do Włoch, dokąd udawał się z polecenia Buonarrotiego. Policja przejęła wtedy wiele ważnych dokumentów dotyczących włoskiego ruchu wyzwolenczego. „Andryane — stwierdzał raport mediolańskiej policji — miał przy sobie nie tylko egzemplarze statutu, ale również dokładne instrukcje w sprawie zakładania nowych sekcji i postępowania w toku prowadzonych prac”.

Buonarroti przeniósł się wtedy do Brukseli, kończył tam swoje „Historie sprzysiężenia” równych zwanego sprzysiężeniem Babeufa; książka ukazała się w roku 1828 w „Librairie Romantique”, adres wydawnictwa zachował się na okładce pierwszego wydania, gdzie u dołu przeczytać można: Bruxelles a la Librairie Romantique, rue de la Madeleine Nr 458.

Autor „Historii sprzysiężenia” zawarł w Brukseli trochę nowych znajomości i odnowił stare. Widował się często ze szlendarowym działaczem demokracji belgijskiej de Potterem, wydawcami Feliksem i Ludwikiem Delhasse, autorami wielu publikacji socjalistycznych spod znaku Fouriere'a; z Charles Testem wreszcie, bliskim odtąd współpracownikiem i towarzyszem bojów.

Mieszkał w skromnym pokoju przy ulicy Berlaimont, na trzecim piętrze. Zachodził czasem do kawiarni „Mille Colonnes”, żeby pogawędzić z Barerem i Vadierem, francuskimi wygnańcami, dawnymi działaczami paryskiej rewolucji. Pierwszy był członkiem Komitetu Ocalenia Publicznego, drugi członkiem Komitetu Powszechnego Bezpieczeństwa, obaj pozostawali później w kontakcie z termidorianami i oklaskiwali ich zamach stanu. Wpłynęła na to niechęć osobista, jaką żył do Robespierre'a, i niechęć ta pozostała im dotąd, choć odcięli się od termidorian i żyli osaczeni ich nienawiścią, a również nienawiścią monarchistów i żyrondy.

Buonarroti'emu przeszkadzała więc w stosunkach z Barerem i Vadierem pamięć o roku 1794, ale szło tu o sprawy nie tylko dawne i przestarzałe. Vadier dzielił z nim przez trzy i pół roku trudy więzienia i zesłania, łączyło ich to i pozostawało na bezpośredniość; dialogi z „Mille Colonnes” były żywe i pełne ognia.

— A jednak — mówił Buonarroti — Robespierre i Saint-Juste reprezentowali dążenia ludowe i wydali szereg dekretów, które przekazywały nieszczęśliwym dobra wrogów Rewolucji...

— I właśnie dlatego — krzychał na to Vadier — zasługują na połepienie.

— Tak sądzisz? — kpił Toskańczyk. Jego zdanie o Vadierze było dość zdecydowane. Cóż z tego, że człowiek ten nienawidził arystokracji i kpił z religii, skoro zasada równości odpowiadała mu tylko o tyle, o ile przynosiła dobry dochód i zapewniała wpływowe stanowisko.

Zasada ta sprawiała zresztą Buonarroti'emu nie tylko takie zmartwienie. Kiedyś, po jakiejś rozmowie z młodym Andryanem, wydało mu się, że jest ona niewystarczająca. „Jednakowy, umiarkowany dostatek dla wszystkich” — brzmiało to dość ogólnie i mgliście, nie zgadzało się z indywidualnymi potrzebami ludzi, podejrzenie pasowało do zarzutu, że babeufiści urządzić chcą na ziemi jedne wielkie koszarzy. Były i inne sprawy. Traktowanie sztuki jako jednego z rzemiosł obrażało dumę artystów. Poważni ekonomiści wydymali wargi słysząc o koncepcjach Owena. W miastach zmieniało się życie z roku na rok i działały się tam rzeczy umykające bystrym oczom karbonariusza.

Rozmawiając z Vadierem o dawnych sprawach, odczuwał też — nie pierwszy raz — bezradność starości i smutek odchodzenia. Dyskusja wydawała mu się jałowa i pozbawiona sensu, wieczorami bolało go to, że święty przynosił uspokojenie. Pochłonięty go codzienne zajęcia, boje, posturunek na przedpolu walczącej Europy, kotłujące się zdarzenia, nowe troski i nowe nadzieje. Dużo czytał. W latach, kiedy przebywał w Brukseli i Paryżu, ukazały się książki Halla, Sismondi'ego, Saint-Simona, a angielski poeta Robert Southey zapowiadał nową rewolucję wieku maszyn i kotłów parowych.

Najbardziej przecież zainteresowały Buonarroti'ego publikacje robotnicze, które pojawiły się w Paryżu i Lyonie. Czui, że i tutaj dzieje się coś nowego, przekraczającego perspektywę więźniów Plessis. Były tam znane sformułowania o złotym próżniactwie garstki ludzi tuczących się na nędzy powszechnej, ale było i coś więcej. Szewc i więzień polityczny Zoel Efrahem pisał na przykład, że „interesy robotników, niezależnie od dziedziny uprawianych przez nich zajęć, nie różnią się od siebie i są identyczne”, że bronią praw i interesów jednych broni się zarazem praw i interesów wszystkich innych”. Nie mogło ująć uwagi starego karbonariusza, że był to nowy język i że ludzi, którzy nim mówili, niewiele interesowały liryczne bufonady abstrakcyjnych obrońców wolności albo i polemika z Vadierem. Owszem, widywał się ich na republikańskich zebraniach, manifestowali na pogrzebie Ewarysta Galois, ale widoczne było, że republika oznacza dla nich przede wszystkim otwarcie szerokich wrót, za którymi dokona się wyzwolenie pracy.

Dokona się? W jaki sposób? To, co miało być nadane przez grupę sprzysiężonych, stawało się żądaniem ludu, i to żądaniem tak powszechnym, że organizacja typu sprzysiężenia Babeufa wydawała się zbyt nikła dla przewodzenia masom ludowym. A i słowo LUD, dawniej jednoznaczne, zaczynało nabierać nowych treści, które Buonarroti odgadywał dzięki wspaniałemu instynktowi rewolucjonisty, ale wobec których stawał bezradny. Voyer d'Argenson relacjonował mu wprawdzie sprawę związków zawodowych, na paryskim procesie Przyjaciół Ludu Blanqui określał się jako proletariusz, ale głos Zoela Efrahema był najbardziej znamienny. Powstanie lyońskie rozniósł się głośnym echem po całej Europie, mówiono o robotnikach, dawne pojęcie ludu dzieliło się na składniki o odmiennym charakterze i swoi-

DWA WIEKI POEZJI ROSYJSKIEJ — Czytelnik. Jest to już trzecie wydanie tej antologii, opracowanej przez Mieczysława Jastruna i Seweryna Pollaka. Zostało ono wzbogacone nowymi przekładami poezji rosyjskiej i radeckiej, które umożliwiły m. in. pełniejsze ukazanie twórczości dekabrystów i innych poetów rewolucyjnych XIX wieku.

SONATA KREUTZEROWSKA I INNE OPOWIADANIA — składają się na nowy tom cyklu: Z PISM LWA TOLSTOJA, wydawanego przez PIW. Obok opowiadania tytułowego — znajdzie czytelnik w tym tomie utwory: DIA-BEL, FRANCISZKA, DROGO KOSZTUJE, GDZIE PRAW-DA, OJCIEC SERGIUSZ, DWIE RÓŻNE WERSJE HI-STORII ULA O ŁUBIANYM DASZKU, FAŁSZYWY KU-PON oraz GOSPODARZ I ROBOTNIK. Przekładów do-konał: Wacław Rogowicz, Jadwiga Dmochowska i Ka-zimierz Truchanowski.

O MADROŚCI RZECZY ZMYŚLONYCH — Sulchan Or-beliani. Tłum. Tadeusz Mongird. Czytelnik. Autor — pi-sarz gruziński z XVII wieku — zawarł w przepięknych baśniach, anegdotach i rozmaitego typu opowiadaniach wierny obraz życia społecznego w feudalnej Gruzji XVII wieku.

Z BIBLIOTEKI LAUREATÓW NAGRODY STALINOWSKIEJ

Leon Kruczkowski — WŚRÓD SWOICH I OBCYCH. Książka naszego wybitnego pisarza stanowi kolejny tom Biblioteki Laureatów Nagrody Stalinowskiej, wydawanej przez PIW pod redakcją Jarosława Iwaszkiewicza. Na nowy tom Kruczkowskiego złożyły się wrazenia z podró-ży, reminiscencje rozlicznych spotkań, recenzje, polemiki literackie oraz artykuły i szkice dotyczące zagadnień kul-turalnych, problematyki społeczno-politycznej i walki o pokój.

Z cyklu Biblioteki Laureatów ukazały się dotychczas następujące pozycje: ZIEMIA KRWI I PRZEMOCY, ZIE-MIA ZŁOTYCH PŁODÓW, DROGI GŁODU, ŚWIAT PO-KOJU — J. Amado, TOWARZYSZE, OCALENIE, UMAR-ŁI POZOSTAJĄ MŁODZI — Anny Seghers, POZEGNA-NIE — J. Bechera, UPADEK PARYŻA — I. Erenburga.

NOWE POWIEŚCI JACKA LINDSAYA

Czytelnik polski poznał dotychczas 4 powieści tego zna-komitego pisarza angielskiego. Były to: STRACONE PRA-WO, LUDZIE Z 1848 ROKU, LUNY NAD SMITHFIELD I OPOWIEŚĆ O ROKU 1649. Obecnie na półkach księgar-skich ukazały się 2 nowe powieści Lindsaya, wydane przez „Czytelnika”. PASTORAŁKA sięga tematem do drugiej połowy XVIII wieku, do początków kapitalizacji rolnictwa. Akcja powieści toczy się dwoma torami. Je-den wątek — to historia pastoralnego romansu, drugi — obrazuje jaskrawo nędzę ludu angielskiego. Właśnie na kontrastie obu tych wątków polega doniosła wartość społeczna powieści Lindsaya. Przekładu dokonał Broni-sław Zieliński, wiersze w przekładzie — Leopolda Staffa. Całość wydana naprawdę pięknie, doskonale ilustracje Otto Axera.

Druga nowa powieść tego samego autora nosi tytuł ZDRADZONA WIOSNA. Autor sięgnął tutaj do tematyki współczesnej, akcja bowiem rozgrywa się w latach 1946 — 1947.

stej postawie. Stary jakobin wracał myślą do lat minionych, czerpał z nich siłę, ale i nie chciał żyć samymi wspomnie-niami. Wiedział doskonale, że wschodzi świat nowy i że nie wszystko zdoła w nim pojąć, wiedział jednak również, że udział Sprzysiężonych w tym pochodzie zdobywczej ludz-kiej myśli był ważki i istotny. „W szczególności życiu ko-rzystać będziemy z dobra, które myśmy ledwie odgadywali, a które następcy nasi, mądrzejsi od swych ojców, potrafią pozyskać na własność”. To, co wyraził w liście do Brontë’a, nie było bynajmniej okolicznościową formułą. Znał jej sens, który był gorzki i ufny jednocześnie, a pisał spokojnie, gdyż złudzenia i wątpliwości miał poza sobą.

„Intencją moją nie jest zapewne mówić ci o sobie. Cóż zyskałaby ludzkość, znając dokładnie złe albo i dobre szczegóły mego życia? Ograniczam się do po-wiadomienia cię, że źródła, z jakich zaczerpnąłeś dane do mojej biografii, obfitują w anachronizmy i błędy: przypisują mi czyny, których nie dokonałem; te zaś, o które mógłbym się upomnieć, zostały albo zniekształco-ne, albo też niewłaściwie podane; wypadki są miejsca-mi przeznaczone, a dobra opinia, którą chciałeś mieć o mnie, podyktowała ci pochwały, o których ze wstydem powiedzieć muszę, że są niezasłużone...”

Zdarzenie, dzięki któremu mogłem zawrzeć z tobą zna-jomość, jest dla mnie najmiłszą z niespodzianek... Wierząc mi, mój bracie, że jeśli zadasz sobie trud, by do mnie napisać, będę uważał sobie za zaszczyt dalsze utrzymywanie naszej znajomości.

Twój oddany ci brat,
Filip Buonarroti
liczący lat 75”.

Stary człowiek opiera się o miękkie poduszki fotela i za-myka oczy. Ilekroć to robi, kiedy wszystko wydawało się strącone, zapalał się na ciężkim niebie dobry ogień! Teraz, po rozbiciu lyońskich demonstrantów, po masakrze legionu Mazziniego, po zdradzie Judasza Fuhla, który wydał przy-wódców niemieckiej demokracji jak niegdyś Grisei Babeu-fa — ogień wolności zapłonął nad ziemią Anglii.

Cóż z tego, że nie było to dużo i że nie odpowiadało ogromnym nadziejom?

Trzeba mieć upór i wiele cierpliwości — przypominał przyjaciółom. Mówił to również do własnego skolatanego serca, które coraz częściej odmawiało mu posłuszeństwa.

Umarł 16 września 1837 roku. Na cmentarz Montmartre od-prowadziło go tysiąc pięćset osób. Z ostatnimi słowami zwrócił się do zmarłego paryski robotnik składający na gro-bie wieniec z dębowych liści. „Buonarroti, wielki obywatelu, przyjacielu równości, lud przyznaje ci ten wieniec, a historia i potomność nie przestaną składać ci hołdu”.

Na wyspie Jersey polscy i francuscy emigranci zorganizo-wali żałobną akademię. W imieniu Gromady Human prze-mawiał Stanisław Worcell. Z pamiętników Buonarroti’ego — mówił — nauczyłeś się wiek dziewiętnasty cenić wiek, co go poprzedził. „Buonarroti wytknął nam, przez podkopanie za-sad dzisiejszej własności, na jakiej podstawie odbudować mamy społeczność przeobrażoną” i nauczył, że „na zupełnej przemianie społecznych stosunków zawisła tajemnica przyszłego braterstwa ludów”.

„Poległ spomiędzy szeregowców najstarszy — kończył mówca — zniknął spomiędzy nas i smutną zostawił lukę. Zeszlusujmyż się na nowo! ...Zaprzysiężmy sobie nowe przy-mierze — a ponieważ wytknął nam drogę — naprzód więc, bracia!”.

ARTUR MIĘDZYRZECKI

W UZNANIU ZASŁUG



Niemieccy „eksperci” w USA z Wernherem von Braun na czele.

Od dłuższego czasu sztab amerykańskiej armii ściągali do USA byłych hitlerowskich specjalistów w dziedzinie produkcji broni masowej zagłady. Szczególną troską otaczano fachowców od V-1 i V-2. O czymś jednak nowym doniósł czołowy dziennik amerykański „New York Herald Tribune” z dnia 13 listopada. Czytamy w nim co następuje:



„NIEMIECCY EKSPERCI OD V-2 OBECNIE OBYWATELAMI USA. Birmingham (stan Alabama) 12. XI. (U. P.) 41 niemieckich naukowców — konstruktorów rakiet V-2, która mogła dla hitlerow-ców wygrać wojnę — zostało wczoraj obywatelami amerykańskimi”.

Słowem — czujcie się, panowie, jak u siebie w domu...

SZYI NIE WIDAĆ

Miły „obrazek” comicsowy, który widzimy obok, przeznaczony jest dla amerykańskich... dzieci. Przedstawia on scenę mordu, popełnionego przed chwilą. Morderca trzyma w ręku głowę zabitej ko-biety, odrąbaną toporem. Z topora ścieka krew...

Fotokopia tego comicsu dotarła do nas zaledwie przed kilku dniami — zdobył on sobie już jed-nak w USA pewną „sła-wę”, gdy komisja senato-ra Kefauvera przeprowa-dzała dochodzenie w spra-wie comicsów. Między in-nymi komisja wezwała na przesłuchanie wydawcę, odpowiedzialnego za ten właśnie „kawałek”. „Czy nazwie pan to właściwą lekturą dla młodzieży?” — spytał go pan senator. „Oczywiście” — odpowie-dział wydawca. — „Dopóki nie widać będzie krwi ściekającej z uciętej szyi...”



Amerykański tygodnik „Newsweek” z dnia 15 listo-pada zamieszcza na swych łamach następującą cha-rakterystyczną wzmiankę:



„Offutt Field (stan Nebraska). Zza kulis: Plagą eli-tarnego Strategicznego Dowództwa Powietrznego (SAC) jest brak bojowych pilotów i wytrenowanych techni-ków. SAC straci w tym roku więcej niż 55% wyszko-lonych ludzi — przejdą oni do cywila. Oficerowie Sił Powietrznych są poważnie zmartwieni kłopotami, które mają przy rekrutowaniu lotników bojowych”.

Koreańska nauka nie poszła — jak widać — w las...

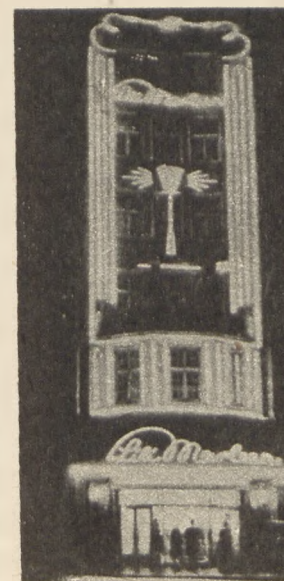
FASZYSTOWSKIE NOCNE GNIAZDKO



Jaskrawe neony nad wejściem głoszą, iż lo-kał nosi nazwę „Lili Marleen”. Przybywają-cych gości wita orkiest-ra, składająca się z kil-

ku młodych ludzi, dźwię-kami skoczego marsza hitlerowskiego „rollen Panzer in Afrika vor”. Grający ubrani są przy tym w mundury romm-lowskiego „Afrikakorps”. Na podium i podstaw-kach do instrumentów wymalowane są symbole tegoż korpusu — palmy na piaszkowym tle.

Powyższy opis nie do-tyczy bynajmniej jakiejś spelunki hitlerowskiej sprzed 12 czy 13 lat. Skądże znowu! Mowa o jednym z najwytwor-niejszych lokali nocnych Hamburga, który co wie-czór otwiera swe pod-woje, by gościć kategorię ludzi, wspominających z łezką w oku „dobre, dawne czasy Trzeciej Rzeszy”.





czyli tak zwane pisma lub, jeśli kto woli, w biurokratycznym zdrobieniu — pisemka.

Listy różnią się od pism przede wszystkim nagłówkiem. Pierwsze zaczynają się słowami „Kochana Syrenko”, „Droga Syrenko” lub „Mila Syrenko”. Raz nawet było „Szanowna Syrenko”. Drugie natomiast opatrzone są znakiem firmowym lub pieczęcią i adresowane są oficjalnie do redakcji. Pierwsze, jak nie trudno się domyśleć, pochodzą od Czytelników, drugie od instytucji, przy czym między obiema tymi grupami dochodził ścisły związek. Listy zawierają uwagi, skargi, żale, gniewy (z naciskiem rzadziej pochwały), które zgodnie z życzeniem ich autorów służą Syrence za temat do „Syrenki”. „Zahaczone” instytucje bądź to zawiadamiają o naprawieniu popełnionych błędów, bądź to tłumaczą się i zapowiadają poprawę. Czasami po prostu wykręcają się sianem. Tę ostatnią metodę stosują raczej rzadko, ponieważ, gdy już ktoś nie chce się parać jakimś tam wyjaśnieniami, ulepszeniami czy zmianami, to woli raczej milczeć. W myśl zasady, że łatwiej się zapomina o tym, który śledzi cicho.

Syrenka, jak już niedługo na tym miejscu wspominać, czuje się w obowiązku zdawać co jakiś czas sprawę Czytelnikom z rezultatów ich interwencji. No bo na przykład, jeżeli Komenda Milicji Obywatelskiej zawiadamia, że zainteresowała się „sprawą hałaśliwego zachowania wracających z lokalu „Krokodyl” gości” i że „w ostatnim tygodniu ukarano 5 osób, które w stanie nietrzeźwym zakłócały spokój nocny” (na co właśnie uskarżali się nasi Czytelnicy) — to jest to miód na serce mieszkańców Starówki i Syrenka nie byłaby godna swego imienia, gdyby cały ten miód sama egoistycznie skosmowała.

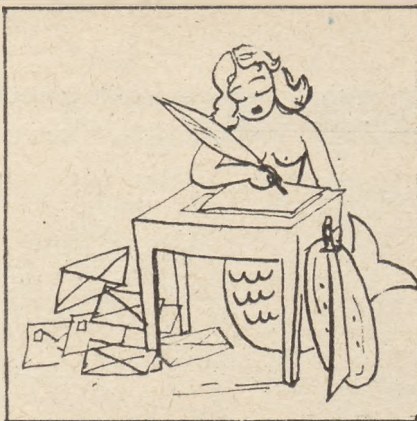
Dzieci, które co prawda nie listownie, ale osobiście żaliły się na zawartość au-

tomatów ze słodczymi, zauważyły już zapewne, że na wszystkich automatach słowa „miętowe” i „mleczne” zostały zalapane kartkami z napisem „wafelki”. Uciesza się też z pewnością, gdy im powiem, o czym napisała nam „Gromada Inwalidzka”, a mianowicie, że zarząd spółdzielni rozważył sprawę jakości umieszczanych w automatach słodczych, nawiązał kontakty z różnymi spółdzielniami cukierniczymi, w rezultacie czego „asortyment przetworów cukierniczych umieszczanych w automatach ulegnie wkrótce zmianie na lepsze”. W imieniu dzieci Syrenka z góry dziękuje.

Na tym zakończę na dzisiaj sprawę „oddźwiękowe”, odkładając ciąg dalszy na kiedy indziej i od pisa powrócę do listów. Rzecz jasna, że ska-ga, że tak powiem, „usyreniona” jest sama przez się odpowiedzią autorowi. Przychodzi jednak sporo listów, które ych autorzy(ki) skarżą się na drobne niedogodności, zastrzegające na rugę, ale nie nadające się do „rozrobienia”. Po jakimś czasie Czytelnicy ci żalą się, że Syrenka ich listów „nie wykorzystala”. Rzecz jasna, że dając pierwszeństwo sprawom, które wydają mi się ważniejsze, obiecuję jednak, że od czasu do czasu pojawiać się będą „Syrenki” satelkowe, czyli omawiające kilka drobnych spraw jednocześnie.

„Nie lubię być oglądana w charakterze małpy w klatce, ani rybki w akwarium — pisze na przykład, zupełnie słusznie, Pani Stefania B. — i dlatego, mimo że punkt mi nadzwyczaj odpowiada, nie pójdę za nic na świecie do nowotwartego zakładu fryzjerskiego na Świętokrzyskiej tak długo, dopóki kierownictwo tej spółdzielni nie zrozumie, że zabieg toaletowy wymaga dyskrekcji i nie zasłoni okien od ulicy”. Racja. Syrenka też nie pójdzie.

„Może ty im powiesz, Syrenko — prosi pan Tadeusz Kr. — że książki telefoniczne w urzędach pocztowych nie są po to, żeby zohydzać ludziom telefonowanie, tylko po to, żeby w nich znajdować poszukiwany numer. Jak się książka zniszczy i wygląda jakby ją myszy zżarły, to powinni ją zamienić na nową, a nie żeby się ludzie musieli denerwować”. Skarga bardzo słuszna, choć od niedawna nieaktualna. Bowiemy nowe książki, które w ostatnim czasie weszły w użycie, nie zżarły się jeszcze zniszczyć. Syrenka żywi natomiast nadzieję, że urzędy pocztowe, do głębi przejęte słowami pana Tadeusza, będą w przyszłości wymienić zniszczone egzemplarze na nowe, zanim szczałkowe okazy zaczną psuć krew nieszczęśnikom daremnie szukającym ważnego numeru.



Aby sprawy korespondencyjne całkowicie wyczerpać, muszę parę słów szepnąć i Wam, kochani nie-warszawiacy, którym serdecznie dziękuję za wszystkie miłe listy, za wszystkie dobre słowa. Aczkolwiek jednak szczerze ubolewam, iż lokal „Orbis” w Stalino-grodzie jest do obrzydzenia brudny i niechlujny, że umycie rąk na dworcu w Krakowie kosztuje 3.60 zł!!!, aczkolwiek współczuję mieszkańcom wojewódzkiego miasta Koszalina, w którym „nie ma ani jednej porządnej restauracji, ani jednej przyzwoitej kawiarni, a te nędzne budy, które są, służą za miejsce pijackich awantur i bójek miejscowym chuliganom”, mimo że sama chętnie, na niewidzialnego, wymierzyłabym 10 lat ciężkich robót osobie odpowiedzialnej z urzędu za stan ubikacji dworcowej w powiatowym mieście Sławnie, mimo że całkowicie zgadzam się z mieszkańcami Lublina i okolic, że „na gmachu przy ul. Włocławskiej 12 warto by wywiesić szyld z napisem Powiatowa Rada Narodowa, ponieważ jedyna figurująca tam wywieszka punktu weterynaryjnego bynajmniej na to nie wskazuje”, mimo że... i tak dalej i tak dalej, głos Syrenki nie śmie sięgać tak daleko. Chociaż lubię Was całym sercem, drodzy nie-warszawiacy, zawsze chętnie czytam Wasze listy i pragnę Wam pomóc, przesyłam Wasze skargi gdzie należy — jestem warszawską i tylko warszawską. Nie tylko z rodu, tradycji i nieśmiertelnego przydziału kwaterynkowego, ale przede wszystkim dlatego, że sprawy stolicy znam najlepiej.

Jesteśmy winni wielu naszym Czytelnikom odpowiedzi na pytania dotyczące losów ich korespondencji nadsyłanych do redakcji i ich dziejów w czasie wędrówki „po nieznanych szlakach działów redakcyjnych” — jak to wyraził w liście Ob. Staniewicz.

Otóż, drodzy Czytelnicy, pragniemy Was przede wszystkim upewnić, że każdy list oraz materiał nadesłany do „ŚWIATA” jest nie tylko starannie przeczytany i oceniony, ale najczęściej nie pozostaje również bez odpowiedzi. Utwory prozą czy wierszem otrzymują kierownik naszego działu literackiego, artykuły czytają koledzy według swoich specjalności, a rysunki ocenia kierownik artystyczny pisma. Również fotografie nadsyłane przez naszych Czytelników kwalifikuje dział fotograficzny „ŚWIATA”.

Utarła się już dobra praktyka wśród wielu naszych Czytelników, że adresują swoje listy, w zależności od ich treści, na konkretny adres ustalony i dłuższy czas istniejącego działu — i to jest duże dla nas ułatwienie przy segregacji nadsyłanego materiału.

W jednym z listów Ob. A. W. z Warszawy narzeka, że jego fraszki nie zostały zakwalifikowane do druku. a ocena ich, jaką otrzymał w liście, jest zbyt lapidarna, aby mu mogła pomóc w polepszeniu strony formalnej utworów. Chcieliśmy przy tej okazji Ob. A. W. jak i innym wyjaśnić, że redakcja nasza nie prowadzi zasadniczo szczegółowych i bardziej analitycznych prac z zakresu poradnictwa literackiego, toteż w wielu wypadkach są to raczej oceny mówiące po prostu, czy dany materiał nadaje się do druku w „ŚWIECIE” — czy też nie. Często jednak utwory literackie proponujemy wysłać albo do Zw. Literatów, albo do czasopisma artystycznego czy naukowego.

Jeśli idzie o sprawę zwrotu rękopisów, o co również pytają Czytelnicy, możemy odpowiedzieć na podstawie praktyki naszej redakcji, że większe prace, jeśli nie zostaną oczywiście wydrukowane na łamach „ŚWIATA”, zwracamy autorom pocztą. Inne materiały leżą przez dłuższy okres czasu w redakcji do dyspozycji autora. Nie mamy zwyczaju — jak nas o to posadza Ob. Sadowski — lokować wszystkiego w koszu redakcyjnym, ponieważ zbyt wysoko cenimy sobie intencje piszących, aby lekceważyć ich pracę. Gdyby jednak — a to się może zdarzyć — któryś z naszych Czytelników nie otrzymał od nas ani odpowiedzi, ani też zwrotu materiału — powinien zawiadomić o tym listownie lub telefonicznie Dział „Od i do Czytelników”.

W jednym z listów zwraca się do nas korespondent z Opola zapytaniem, czy uwagi krytyczne pod adresem różnych instytucji, występujące zarówno w listach do redakcji jak i w samym materiale redakcyjnym, są kontrolowane od strony ich skuteczności, a także czy dana instytucja raczyła wziąć sobie te uwagi do serca. Zapewniamy Was, że żadnego milczenia na uwagi krytyczne nie uznajemy za złote, a będziemy konsekwentnie każdą niewyjaśnioną jeszcze sprawę prowadzić do końca.

Przy okazji dziękujemy tym wszystkim, którzy nadesłali ostatnio do archiwum naszego tygodnika stare wycinki z prasy międzywojennej, broszury i ilustracje jako prezent dla pisma. Nadmieniamy przy tym, że wszelkie dokumenty prasowe i stare książki, które mogą nas zainteresować, nabywamy po cenach określonych przez antykwarnie.

„ŚWIAT”

Od 1 grudnia „Świat” (i wszystkie inne pisma) będzie można prenumerować w kioskach „Ruchu”. Prenumeraty przyjmowane będą między 1 a 25 każdego miesiąca na miesiąc następny. Zamówione czasopisma odbierać będzie można jedynie w tym kiosku, w którym dokonana została wpłata.

SZACHY

PARTIA NR 133

grana w turnieju strefowym kobiecych mistrzostw świata w Lipsku.

Obrona sycylijska

Białe: J. Langos (Węgry)
Czarne: K. Holuj (Polska)

1. e2-e4 c7-c5 2. Sg1-f3 d7-d6 3. d2-d4 c5-d4 4. Sf3: d4 Sg8-f6 5. Sb1-c3 g7-g6 6. Gc1-e3 Gf8-g7 7. f2-f3 0-0 8. Hd1-d2

Wytworzyła się pozycja tzw. wariantu Drakona obrony sycylijskiej. Białe ostatnimi dwoma ruchami zaczęły przygotowywać się do szturmu pionami na królewskim skrzydle. Czarne z kolei odpowiedzą na to przeciwdziałaniem w centrum.

8... Sb8-c6 9. 0-0-0 Sc6: d4 10. Ge3: d4 Hd8-a5 11. g2-g4

Dokładniejsze jest tu 11. Kb1, aby po ewentualnym Sc3-d5 wymiana hetmanów na d2 następowała bez szacha.

11... e7-e5 12. Gd4-e3 Gc8-e6

Czarne nie bronią piona d6. Wziąć go jednak byłoby dużą lekkomyślnością. Po 13. Hd6

G: a2 nie można grać 14. Hc5: bo 14... H: c5 15. G: c5 Gh6+ 13... a2-a3 Wf8-d8 14. h2-h4 d6-d5 15. Sc3: d5 Ha5: d2+ 16. Wd1: d2 Sf6: d5 17. e4: d5 Wd8: d5 18. Wd2: d5 Ge6: d5

Po licznych wymianach białe straciły szanse ataku na skrzydle królewskim. Pozostałe zaś osłabienie białych pionów oraz świetna pozycja gońca na d5 zapewnia czarnym przewagę.

19. Gf1-g2 Należało grać 19. Ge2, aby nie wiązać piona f3.

19... Kg8-f8

Silniejsze było 19... f5 z zamiarem uzyskania wolnego piona.

20. h4-h5 g6: h5 21. Wh1: h5 Kf8-g8 22. b2-b3 a7-a6 23. Kc1-d2 Wa8-d8 24. Kd2-e2 b7-b5 25. Wh5-h1 Wd8-c8 26. Ke2-d2 Gg7-f8 27. Wh1-h5

Białe nie umieją zdecydować się na jasny plan gry. 27... f7-f6 28. b3-b4 Wc8-d8 29. Kd2-c1 Gd5-e6 30. Gg2-f1 e5-e4 31. Gf1-e2 Gf8-d6 32. f3-e4 Gd6-e5

Za cenę piona czarne zaktywizowały drugiego gońca.

33. g4-g5 Gd6-f7 34. Wh5

-h1 Wd8-c8 35. g5: f6 Wc8-c3

Czarne trafnie oceniają po-



Pozycja po 37... Kf8-e8

łożenie i nie cofają się przed stratami materialnymi używając w zamian znaczną przewagę pozycyjną.

36. Wh1-g1+ Kg8-f8 37. Ge3-c5+ Kf8-e8

38. Ge2-d3

Dłuższy opór mogły stawiać białe po 38. Wg7 choć i w tym przypadku po 38... Wa3 39. W: h7 Gc3 40. Wh8+ Kd7 41. Gg4+ Kc6! 42. Wc8+ Kb7 czarne wygrywały.

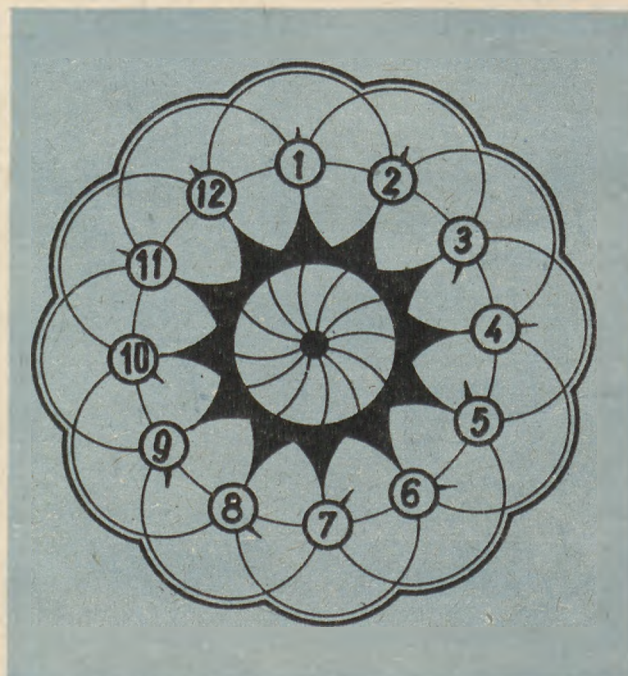
38... Wc3: a3 39. Wg1-g7

Przed matem ratowało 39. Kd2, czarne odbijały jednak oba piony zachowując przewagę.

39... Ge5-c3 40. Kc1-d1 Gf7-h5+ 1 białe poddały się wobec nieuchronnego mata.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

WIROWKA



Dookoła poszczególnych liczb wpisać 12 wyrazów pięcioliterowych o poniższych znaczeniach. Początek wpisywania wyrazów zaznaczony kreską.

Znaczenie wyrazów: 1) Instrument muzyczny podobny do fletu, 2) Pogłębia koryto rzek, 3) Według starożytnych Greków bogini

przeznaczenia, przedać nie życia ludzkiego, 4) Rodzaj tkaniny, 5) Muza pieśni miłosnej, 6) Rodzaj lustra, 7) Lody plus owoce, 8) Rekwizyt praczeki, 9) Piłki pełne (niebędę), 10) Znajdziesz w świecach, 11) Mineral, 12) Rodzaj zasłony.

(W. Kielbasiewicz, Poznań)

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch” Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 605-05.

Zakłady Wkleśtodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. Nr 678. Papier rotogr. V/80—82 cm — 5-B-20289 podpisano do druku 1.12.54 r.

Termin nadsyłania rozwiązań 10-dniowy. Za prawidłowe rozwiązania rozlosowane zostaną nagrody książkowe.

WIĘCEJ POMYSŁOWOŚCI NIŻ PIENIĘDZY

Ktoś złośliwy powiedział, że są trzy rodzaje podarunków: pierwszy rodzaj — te, których chcemy pozbyć się z domu, drugi — te, które ofiarujemy, by zadokumentować nasz dobry gust, trzeci — pomyślane wyłącznie dla zrobienia przyjemności osobie obdarowanej. Przy czym podobno może zachodzić zbieżność między drugą a trzecią kategorią podarunków, natomiast nie może — między pierwszą a trzecią...

Zbliża się Gwiazdka. Wiele naszych Czytelniczek będzie w kłopotcie, co ofiarować bliskim i miłym. Wiele z nich po prostu nie będzie miało czasu na długie zastanowienie. Podajemy dzisiaj szereg propozycji podarkowych, pod hasłem wymienionym w tytule. A więc:

1. Dla melomana: płyta, a kopertę zrobimy w domu z kartonu, przyozdobimy ją wycinanką.

2. Podarunek dla młodego ojca: butelki (z podziałką — dla niemowląt!) i krawat.

3. Podarunek nastrojo- wy: jeżeli mamy dość czasu robimy dla przyjaciółki nowy abażur na starą lampę. Tiul z resztek firanki, dobrze nakrochmalonej, spod z białego kartonu.

4. Dzieci (oprócz innych podarków) chętnie zobaczą pod choinką owoce.

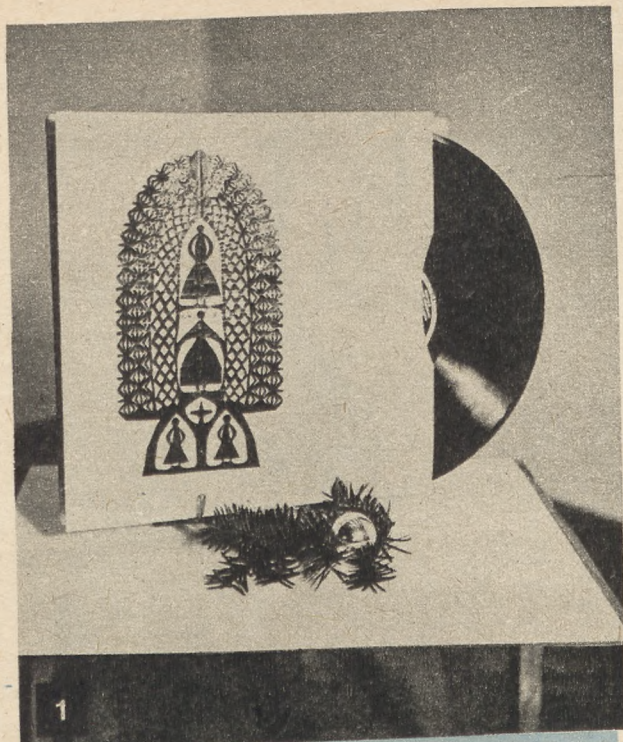
5. Podarunek dla miłego mężczyzny: w koszyczku (osobliwość krajowa!) plecionym z korzenia jałowca podajemy cygara (jeżeli my je znosimy, oczywiście), papierosy lub fajkę...

6. „Gniazdko” — zrobione z rekawicy do mycia, kulek do kąpeli i ptaszków, zakupionych w „Cepelii”. (Prezent „rodzinny”).

7. Podarunek dla trzech siostr lub matki z dwój- giem dzieci: znów ulubiony koszyczek, szalik i rękawiczki.

8. Na gałązce przypięte w kształcie kwiatków dwie małe chustki do no- sa (podarek dla uczenni- cy klas wyższych).

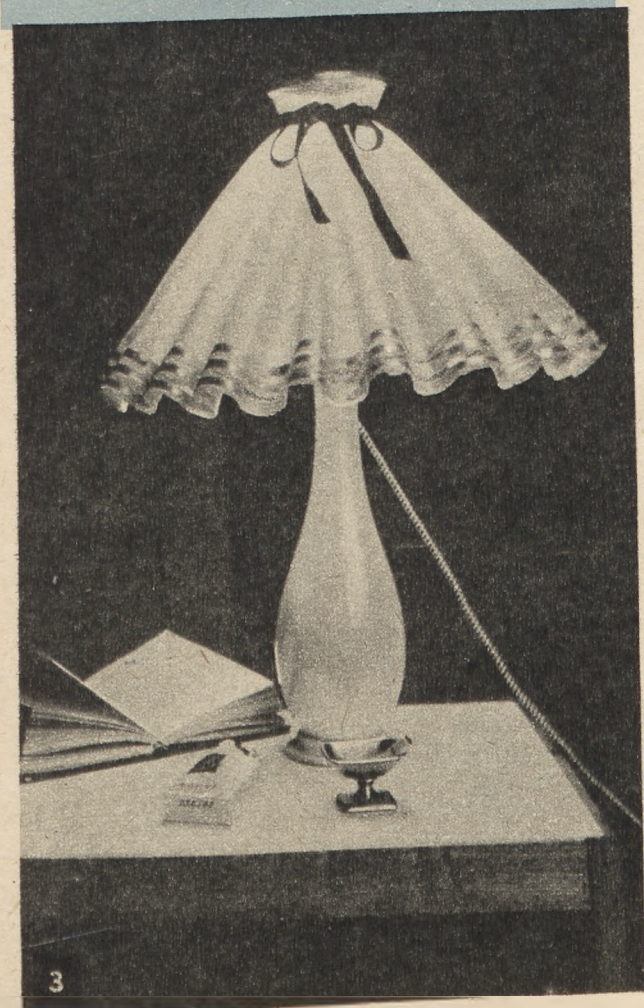
Zdjęcia: J. SCHIFF



1



2



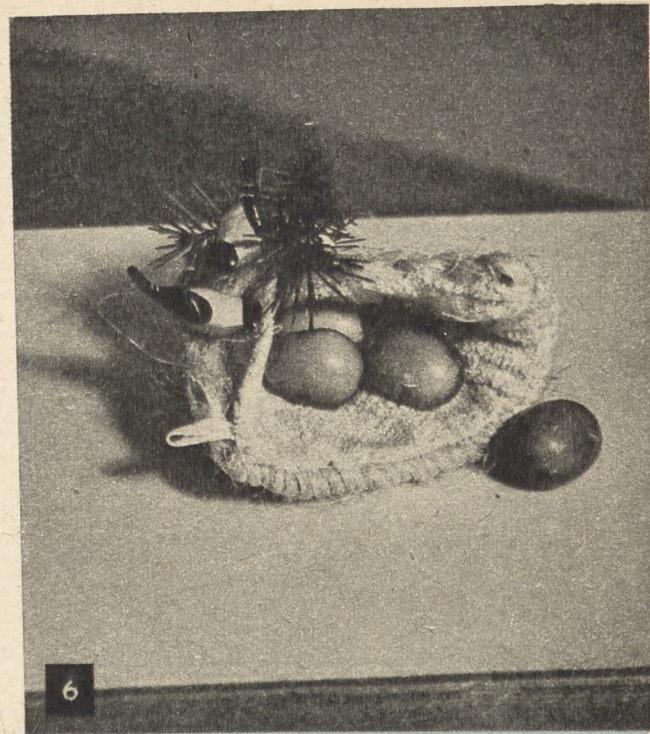
3



4



5



6



7



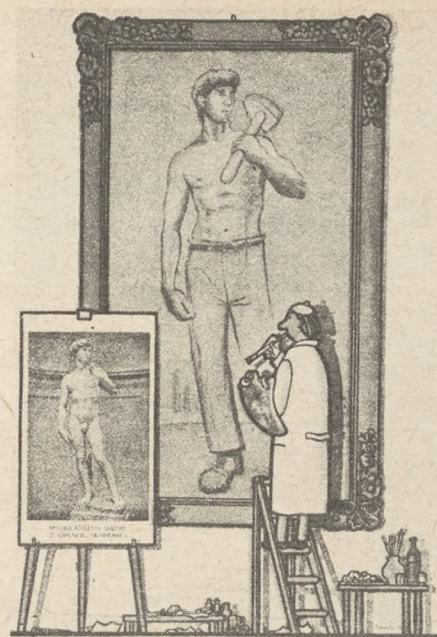
8



Pomnik wynalazcy sera szwajcarskiego.
„France-Dimanche”



Bracia syjamscy
„Vie Nuove”



Uczmy się u dawnych mistrzów
„Dikobraz”



Tatusiu, czy ją też niedawno wybudowali?
„Ogoniok”



Bez podpisu
„The Saturday Evening Post”



— Widzi pani, powoli zbliżamy się do tego, czego pani sobie życzy.
„Eulenspiegel”



— Niech pani weźmie chociaż jeden, żebym mógł wrócić do domu.
„Vie Nuove”

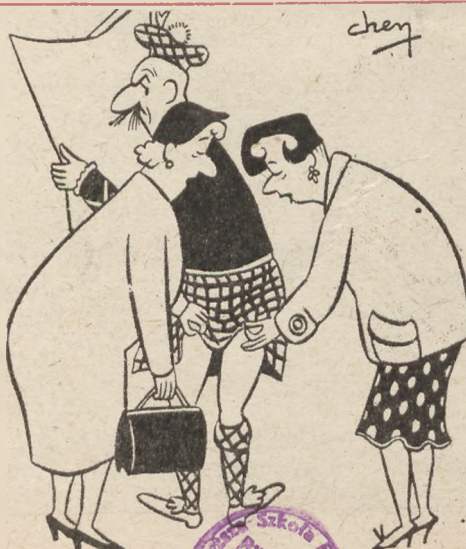


— Co ty piszesz? Tezy?...
— Tss, Powieść...

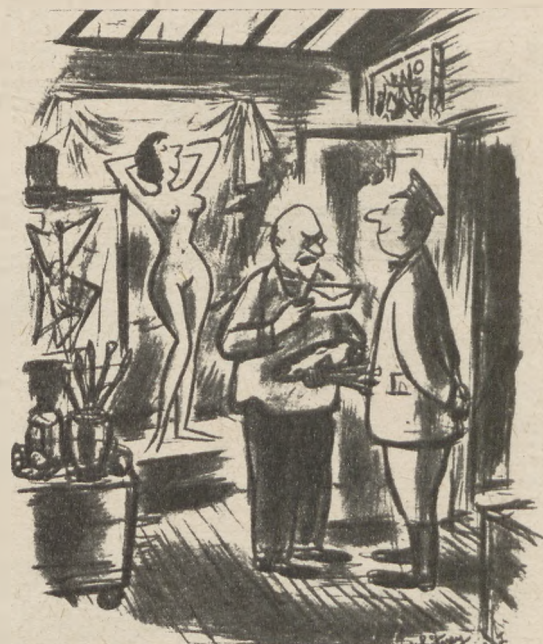
„Krokodyl”



— Przestaniecie hałasować; nie wiecie, że pracuję na nocnej zmianie?!...
„Illustrierte Zeit in Bild”



— Takiej jakości nie znajdę u nas...
„France-Dimanche”



— Już panu dwa razy mówiłem, że to fałszywy adres!...
„New Yorker”



Bez podpisu

„Regards”